Nr 5. Warszawa, dnia 2 Lutego (21 Stycznia) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWY RZĄD FRANCUSKI.

Radykalny Leon Bourgeois nie zdołał „skoncentrować" republikanów w pierwszym gabinecie nowego prezydenta Rzeczpospolitej. Nie powiodła mu się ani jedna próba z żywiołami tęższymi, ani druga z lichszymi: oportunizm nie dał się ugnieść w jedno ciasto z ideą, z przekonaniem. Dnia 24 stycznia złożył tedy wybrany mąż zaufania p. Faure'owi swój mandat; a p. Faure wręczył go czemprędzej p. Ribotowi, który już raz był prezesem ministrów, na początku r. 1893, kiedy to od wichury panamskiej przewrócił się p. Loubet, a p. Carnot nie mógł znaleźć nikogo innego, ktoby mógł utrzymać się na nogach pomiędzy Izbą deputowanych a Panamą. Wypróbowany już w oportunizmie republikańskim u steru rządu, 53-letni polityk umiarkowany szczęśliwszym był od p. Bourgeois: po dwóch dniach miał już gabinet — ale co za gabinet! Nikt tam prawie nie stoi na swojem miejscu, o ile go już dawniej nie zajmował—a wszyscy podpierają się wzajemnie tylko swoją nicością.

Wrażenie ten gabinet sprawia — okropne: jeden ślepy, drugi kulawy, trzeci jeszcze ani chodzić, ani mówić nieumiejący; możnaby sądzić, że to nie wyszło ze stronnictw, mających się w rządzie skoncentrować, ale spędzone zostało na chybitrafi z ulicy. Najgorętszym jest p. Chautemps, były mer Paryża, a raczej, w braku mera, prezes rady municypalnej z czasów wystawy jubileuszowej, z powołania lekarz, z oczytania marynarz, ze stanowiska w gabinecie p. Ribota — minister kolonij. Jeżeli pływał dotychczas — to po lądzie, jeżeli kolonizował co — to bakteryo. Z przekonań radykalista municypalny, nie dał się dotychczas poznać choćby ze zdolności rozglądania się po większych widnokręgach. Najlepszą jego kwalifikacyą jest wiek — lat 45 — i zdrowie, którem pacyentów swych różowo usposabia. I kolonie wprawdzie będą jego pacyentkami, ale do wyrabiania w nich dobrego humoru i zdrowia potrzeba być przecież czemś więcej, niż marynarzem z książki i doktorem medycyny o kwitnących policzkach.

Oprócz p. Chautemps'a żaden już więcej radykalista nie dźwiga na sobie zasługi skoncentrowania republikanów w rządzie. Wszyscy inni ministrowie formacyi Ribotowskiej są umiarkowanymi, rozsądnymi oportunistami: z samej natury swojej myślą tylko przez pół, przez pół czują i do połowicznej też, oportunistycznej roboty, zasadzającej się na robieniu rzeczy małych i marnych, bardzo dobrymi być mogą. Całą nędzę położenia obecnego, a całą uciążliwość zadania, podjętego przez p. Ribota, najlepiej maluje ten fakt, że obrany na sternika rządu polityk nie mógł znaleźć nikogo na stanowisko ministra skarbu i został nim sam—i nikogo też rzetelnie wykwalifikowanego na ministra spraw wewnętrznych, na stanowisko najważniejsze w państwie nowoczesnem. We Francyi, gdzie centralizacya biurowa przetrzymuje systemy, metody, formy rządu, dynastye nawet same, i jest może jedyną stałą a żywą i do pewnego stopnia pożyteczną zasadą życia politycznego — wydział ten ma i w sobie władzę wielką i przed sobą zadanie ogromne: on przynajmniej powinien mieć człowieka. Nie mago w gabinecie Ribota.

Ministrem spraw wewnętrznych został *in extremis* były minister oświaty w gabinecie p. Dupuy—p. Leygues, z zawodu—poeta i adwokat. Można sobie wystawić, jakim będzie „Sonntags-reiterem" na swym urzędzie. Za Trarieux'em, ministrem sprawiedliwości, nie świetnie przemawia to, że jest przyjacielem, a był obrońcą Raynala w procesie o szacherki kolejowe; ale ten jest przynajmniej z powołania prawnikiem, nie złym mówcą w senacie i głową na sprawy polityczne i społeczne otwartą. Minister spraw zagranicznych nie zmienił się: będzie nim i nadal p. Hanotaux, minister Casimir-Périera. Ministrem handlu został Lebon, młodziutki, 35 letni oportunista, znający się trochę na kwestyi robotniczej, ale zupełny nowicyusz w skarbowości państwowej. Ciemną zupełnie figurą jest jakiś Gadot, minister rolnictwa—rzecz niepojęta—znowu „doktór medycyny." Widocznie albo Francyi braknie rolników a ma nadmiar lekarzy, albo też p. Ribotowi zbrakło wśród ludzi poważnych zaufania. Koroną tych „specyalności" w pierwszym gabinecie p. Faure'a jest p. Dupuy-Dutemps z zawodu adwokat z teki ministeryalnej — minister robót publicznych. Wszystko już robiono z adwokatów na świecie, ale robienie inżenierów jest dopiero wynalazkiem prezesa nowego gabinetu francuskiego.

I taki jeszcze gabinet nie mógł stanąć w całości i kiedy się d. 28 stycznia przedstawił Izbom, miał jeszcze dwie szczerby: ministra wojny i ministra marynarki. Pierwszym nie chciał być gen. Jamont, drugim admirał Besnard. P. Ribot myślał o odwołaniu się do Freycineta, który przez lat kilka z niemałą biegłością i pożytecznym trudem zarządzał wojskowością; tylko czy Freycinet zechce kompromitować się udziałem w "koncentracyi" z zer złożonej?

Zaraz po utworzeniu gabinetu Faure wydał orędzie, które d. 28 b. m. odczytano w Izbach. Tekst jego jeszcze nie nadszedł; telegraf charakteryzuje akt prezydenta jako demokratyczny i zapowiadający reformy społeczne. Wobec orędzia Faure'a można było o programacie gabinetu zamilczeć; ale jego skład osobisty nie dał się pokryć milczeniem. W Izbie deput. wystąpił radykalny Goblet z niemiłosierną krytyką i nowych ministrów i samego wyboru Faure'a na prezydenta Rzeczy-

pospolitej. Jest on istotnie prezydentem orleańczyków i bez nich byłby dziś jeszcze tylko prostym deputowanym. Rząd taki musi być i jest bez programatu politycznego i nie ma prawa podszywać się pod firmę koncentracyi republikańskiej. Naród potrzebuje koncentracyi, ale rzeczywistej, i rzetelnie republikańskiej. Ribot odpowiedział na zarzuty. Izba uchwaliła 329 głosami przeciwko 79 *votum zaufania* dla nowych ministrów.

A burza nie czeka i huczy.

RANDOLF CHURCHILL.

Młody, pełen wiary w powołanie toryzmu i w rasową siłę swego narodu, Randolf Churchill odegrał pierwszorzędną rolę we współczesnej historyi politycznej, nie zyskawszy dla siebie ani wielkiej chwały, ani pomnika, który by świadczył w przyszłości o pracy i zasługach odrodziciela angielskiego toryzmu. Urodzony w 1849 roku, drugi syn księcia Marlborough młody Randolf miał z jednej strony wszystkie środki, jakie ułatwiają rozwój każdego talentu, z drugiej, nie mogąc być bezpośrednim dziedzicem imienia i bogactw zamku Blenheim, wydostawszy się na wielki gościniec władzy, powodzenia i sławy, musiał pracować usilnie i rozwinąć cały zasób swych sił, aby nie zostać na zawsze „drugim" synem w rodzinie, w Izbie i w świecie Wielkiej Brytanii.

W początkach swej karyery politycznej młody Churchill występuje jako prawowierny tory, ceniący wyżej tradycye przeszłości, niż potrzeby dnia dzisiejszego. Wybory z 1880 roku przerzuciły toryaów z ław rządowych do ław opozycyi; milcząca i bezczynna opozycya jest wszakże potworem politycznym, który nie może liczyć na dłuższy żywot.

W tym to właśnie czasie zaczyna się żwawa i śmiała, ciągła i wyczerpująca działalność Churchilla. Wyciągał on na jaw nieudolność radykalizmu, czczość jego akcyi i bezpodstawowość przyrzeczeń. Jako arystokrata miał on nienawiść dla mieszczanina, dla człowieka ze średniej klasy—*middleclass*—terminologia bardziej pogardliwa niż wyraz francuski — burżuazya, z którym zrasta się cały rozwój dziejowy kraju. Według Churchilla trzeba przez głowy „średniej klasy" rzucić most, łączący prawdziwą klasę, a nie średnią, z masą. Churchill wie, że w jego stronnictwie są inne poglądy, panuje przedewszystkiem strach przed wzburzonemi i cierpiącemi twarzami ludu, strach przed okrzykami demokracyi. Churchill to wie i dlatego woła: „ufajcie ludowi, wy, którzy chcecie być stróżami ustawy państwowej i interesów Brytanii, ufajcie ludowi, a on zaufa wam i pójdzie za wami i złączy się z wami w obronie państwa przeciw wszystkim." Sam on mówi o sobie, że się nie boi demokracyi i jest spokojny o losy mniejszości (arystokracyi); dla niego wstrętnym jest widok polityki bezpieczeństwa mieszczańskiego. Wprawdzie głosował przeciw reformie wyborczej, ale to tylko dlatego, że reforma polityczna nie była wniesioną jako sprawa narodowa, jeno—stronnictwa. Zresztą, mówi Churchill, trzeba zająć się teraz reformą podatkową, reformą dla Irlandyi, kolonii, agrarną itd. W dziesięć lat później popiera wszystkie reformy na polu prawodawstwa fabrycznego.

Politykę Churchilla ochrzczono mianem tory-demokratyzmu; sam on przyjął tę nazwę i dziesiątki innych toryaów kładą już dziś nacisk na swój demokratyzm.

Czytelnik polski powinien zawsze mieć na uwadze odrębny zupełnie rozwój Anglii i nie podciągać naprzykład tory-demokratyzmu pod wspólny mianownik ze słowiańskiemi pojęciami o ludowości. Na kontynencie, a szczególnie w młodych jego rasach, *lud* wchodzi na scenę polityczną z wyciągniętą po napiwek ręką; wszelka więc polityka, którą *demos* na swoją stronę przeciągnąć usiluje, robi wielkie obietnice i prowadzi politykę napiwków. W Anglii pod tym względem dzieje się inaczej; obietnice są określone. Na rynek polityczny wychodzą kupcy, którzy się targują; stronnictwo, którego siła kupna jest największą, ustanawia cenę, centralizuje wszystko i opanowywa kram. Oto przykład: na północy dziś, w okręgach tkackich, rozwijają się dążności protekcyjne zarówno wśród przemysłowców jak i stowarzyszeń zawodowych. Te ostatnie sądzą, że *chwilowo* mogą one także zyskać na *bimetalizmie* i dlatego wchodzą w umowy i sojusze, które na kondynoncie ryczałtem są potępione jako reakcyjne. Dla Anglii zaś taktyka taka może być złym lub dobrym targiem, ale nie ma w sobie żadnych złowieszczych groźb, zwanych u nas wstecznictwem itd.

Tory-demokratyzm Churchilla miał więc wszystkie te cechy jawności i jasności życia politycznego Anglii. Dla toryzmu wszakże był on czemś więcej, był transfuzyą krwi, myśli, inicyatywy i energii geniusza politycznego w obumierające stronnictwo. Beaconsfield zostawił 236 konserwatystów i to w stanie rozkładu; w 1885 roku toryai mają 250 miejsc i są już stronnictwem czynu, które w 1886 r. zdobywa 333 miejsc. Poseł Jennings zrobił ciekawe zestawienie z wyborów 1885 roku, które jest najlepszem świadectwem dla Churchilla. Młody wódz czwórki był niestrudzonym w swej agitacyi; z natury rzeczy pojawiał się on jako mówca po miastach, pozostawiając wiejskie okręgi wpływom „starej bandy," jak sam nazywał urzędowe figury swego obozu. Otóż we właściwej Anglii w 1885 roku toryai mieli w *miastach* 116 posłów przeciw 109 liberałom, podczas gdy w *wiejskich* okręgach zdobyli zaledwie 100 miejsc na 234 ogólnej liczby. Zapoczątkowana w 1880 roku polityka Churchilla jeszcze 1892 roku miała olbrzymi wpływ w miastach fabrycznych, pomimo porażki samego twórcy, o której teraz mówić nam wypada.

Wpływ Churchilla był tak wielkim, że w 1885 roku, mając zaledwie 36 lat, został członkiem gabinetu Salisbury'ego. Przy powtórnem powołaniu toryaów do rządu, w sierpniu 1886 roku, został skarbnikiem państwa i *leaderem* Izby Gmin *). Jako członek rządu, wygłosił swą sławną mowę Dalfortską, w której naszkicował projekt reform społecznych (parcelacya ziemi, ulepszony samorząd, prawodawstwo pracy, zmniejszenie podatków itd.). Zdawało się zatem, że nowa era rozpoczyna się w polityce angielskiej. Ale już w grudniu pojawia się nagle wieść o ustąpieniu Churchilla. Urzędownie zaznaczono, że nie mógł uzyskać od ministra wojny, Smytha, zmniejszenia wydatków; w kraju wiedziano, że tory-demokratyzm odrzuciła rada ministrów, którzy, mając w Izbie olbrzy-

*) Salisbury jako czynny lord, nie mógł zasiadać w Izbie Gmin; *leader* Izby jest zarazem przedstawicielem rządu i partyi w Izbie.

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ALRUN.

Widok 6.

Szerokimi płomieniami buchające ogniska błyszczały, jak olbrzymie żółte kwiaty na czarnym płaszczu nocy. Około nich uwijały się nagie, brudno-szare, skrwawione postacie, które rzucały szczapy i gałęzie lub kładły na węglach zwierzęta zabite, uduszone lub jeszcze rzężące ostatniemi tchnieniami. Niektórzy z wojowników czerpali dłońmi i pili krew z rozpłatanych wnętrzy zwierząt.

Przy pierwszem ognisku.

— Po co, kiedy mamy zwierzęta.

— Gadasz, jak młokos, który nigdy nie kosztował ludzkiego mięsa. To przysmak, niczem wątroba antylopy.

— Jadłeś?

— Ile razy! Gdyby ze mnie teraz wyszli wszyscy, których miałem w żołądku, rozpędziliby całą naszą gromadę.

— Niepodobna!

— A tak! Dopiero kiedy Ukor zakazał jeść ludzi i pozwolił ich zabijać tylko na ofiary bogom...

— Dlaczego?

— Mówił, że go w snach straszą, że dusze zjedzonych tańczą koło niego w nocy i spać mu nie dają.

— Może i tańczyły.

— Koło mnie nigdy. Zresztą nie rozumiem, czemu człowiek ma być gorszy od lwa, tygrysa, pantery, ognia, wody, które jedzą ciało ludzkie? Niech naprzód im kto zabroni.

— Woda nie lubi mięsa i zawsze je wyrzuca.

— Bo ma brzuch rozlazły. Jeśli jej trupa przywiążesz na dnie, to go zje.

— Wy gadacie, a ogień nam antylopę pożera. Zdejmujcie — już dobra!

Zbliżyła się nieśmiało grupa kobiet i stanęła w pewnej odległości.

Pierwsza kobieta.

Nie zapominajcie o nas, bo głód warczy nam w brzuchach i zjada wnętrzności.

Mężczyźni

— Cicho, kawki! Upominacie się, jak gdybyśmy już byli syci i psom ogryzki rzucali.

— Nie noście brzuchów z sobą, to wam nie będą dokuczały.

— Czemże na jadło zarobiłyście? Od dwu dni nie mieliśmy czasu nawet pomyśleć, że jesteście na coś przydatne.

Druga kobieta.

— A kto rannych wrogów dobijał? Kto im oczy wydrapywał? Kto kamieniami głowy rozmiażdżał? Pracowałyśmy, jak i wy... I gdyby nie nasza pomoc, wielu z was nie tu, ale tam by odpoczywało i ziemię gryzło.

Mężczyźni.

— Poszły precz, ropuchy! Ćmy gęsto latają po nocy, możecie je łapać i zjadać.

Trzecia kobieta.

— Zdechnij, będą miały gdzie jajka złożyć.

Mężczyźni.

— W las, małpy!

— Osypać je żarem!

— Wbić kołek w najszorszą gębę!

Jeden z mężczyzn porwał z ogniska płonące drzewo i cisnął je za kobietami, które z krzykiem uciekły.

— Zdmuchnęliśmy szelmy, jak dym, co w oczy gryzie. Wartoby kilka najtwardszych w gorącej wodzie namoczyć, to zmiękną. No, ale jedzmy.

Ściągnęli z węgli i zaczęli rozrywać półsurowe zwierzę. Nadeszła gromadka dzieci.

Dzieci.

— Jeść, jeść!

mią większość, uważali się za „szczęśliwych posiadaczy“ władzy. Dopiero w 1890 roku, gdy okazało się z wyborów uzupełniających, że nowa porażka, podobna do tej z 1880 roku, grozi torysom, markiz Salisbury wystąpił z szeregiem reform popularnych. Było już wszakże za późno i co najwyżej zmniejszono tylko rozmiary porażki.

Dziś toryzm angielski jest przesiąknięty duchem Churchilla; wszystkie młode siły stronnictwa są zwolennikami polityki dawnego wodza czterech. Ale lord Randolf nie ujrzał już ani razu gwiazdy powodzenia. Po ustąpieniu z rządu był on związany, nie mogąc nacierać na tych, którzy wczoraj byli jego towarzyszami. Gdy zaś głos sumienia zapanował nad skrupułami towarzyskimi, motłoch jego obozu ciskał mu w twarz zarzuty zdrady.

Jednocześnie choroba zaczęła podkopywać słaby i nerwowy organizm. W 1892 roku był już ruiną, ale mimo to wziął się z zapałem do pracy, aby odzyskać swe dawne stanowisko. Atak paraliżu zmusił go do złożenia broni. W kilka tygodni później, dnia 24 stycznia Churchill zeszedł na zawsze ze sceny politycznej, zmuszony przedtem patrzeć, jak miernoty z jego obozu przywłaszczają sobie wszystkie jego myśli, za które zaledwie kilkomiesięczne dzierżenie władzy w nagrodę otrzymał za życia.

W. Nadolski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Orędzie prezydenta Rzeczpospolitej jaskrawo odbija od pożegnalnego elaboratu Casimir-Périera. Panuje w niem ton republikański, błyska wiara w przyszłość Francyi, drży wezwanie do polityki patryotycznej i czynów godnych wielkiego narodu, którego wolę prezydent za wyższą nad wszystko uznaje. Czyny mogą nie przyjść po tem słowie, ale słowo samo przychodzi po zamęcie z dni 14—17-go stycznia z pewnem pokrzepieniem dla umysłów. Tylko nie trzeba mniemać, żeby się już przesilenie skończyło: ono się dopiero zaczyna. Zetrą się jeszcze ze sobą oba prądy krańcowe: demokracyi wybujałej w socyalizm i republikanizmu, głuszonego przez monarchię, która z sero orleańczyków i dawnych legitymistów rozplenia się i umysły łagodnych, oportunistycznych republikanów ogarnia. Powtarzają się dzieje lat 1850 i 51 — może tylko bez analogicznego „2 grudnia.“

Admirał Besnard dał się nakłonić do przyjęcia wydziału marynarki. Gen. zur Linden został ministrem wojny.

Izba deputowanych uchwaliła d. 28 b. m. amnestyę polityczną.

W Grecyi ostatnie dwa tygodnie stycznia upłynęły wśród niepamiętnego tam wzburzenia. Lud nie bogaty a chciwy i skąpy, skwapliwie pochwycił dar zniesienia opłat konsumcyjnych, nie myśląc, jak gorzki wkrótce spotka go zawód: Trikupis, sternik rządu, dał mu kijek, ale zabrał siekierkę: wprowadził wysoką akcyzę. Grecya ugrzęzła w długach, zrobionych przez politykę wielko-grecką w latach 1878—83; stała się niewypłacalną; obcy wierzyciele zaciskają na nią pięści, obce rządy „leczą“ jej finanse: każda drachma jest droga i żaden rząd nie uszczupli sobie swych dochodów. Musiał i Trikupis wynagrodzić skarb za konsumcyę; pytanie tylko: czy obrał właściwy rodzaj opodatkowania?

Pytanie takie mogą sobie zadawać politycy; lud postawił sobie inne i odrazu dał na nie odpowiedź: „Ani drachmy!“ Zbiegowiska, zgromadzenia, pochody uliczne odbywały się pod tem hasłem. Narescie Trikupisowi zbrakło cierpliwości: przeciw ludowi postawił policyę. W d. 20 stycznia miała się odbyć wielka — o ile na wielkość pozwalają dzisiejsze Ateny — demonstracya. Policya oznajmiła, że miejsce na nią jest tylko za miastem, przy koszarach kawaleryi — miejsce rzeczywiście na demonstracyę jak wraz dobrane. Zeszło się więc ludu niewiele, a i tej mizeryi nie dano się swobodnie wyżalić. Przybył sam następca tronu, przemówił po ojcowsku i wezwał do zaniesienia skarg przed króla. Prezes gabinetu dostrzegł w tem wkraczanie w prawa ministrów i zażądał uwolnienia. Otrzymał je natychmiast, a po kilku dniach stanął nowy gabinet pod sterem Delyanisa młodszego; zasiadają w nim dwaj adjutanci królewscy. Jest to zbiór głów i rąk do obmyśliwania i spisywania referatów, ale nie ministeryum. Wrzenie trwa. Rozeszły się pogłoski o abdykacyi królewskiej. Prawdopodobnie król na chorobę demokracyi użyje jakiego heroicznego lekarstwa.

Po uchwaleniu prawa o przywróceniu jezuitów w drugiem już czytaniu, centrum niemieckie zaczyna łagodnieć w komisyi niebezpieczeństw społecznych. Ci sami komisarze, którzy w przeszłym tygodniu uważali zaostrzenie § 111 i 111*a* (pochwalanie zbrodni) za zbyt surowe, teraz (d. 28 stycznia) sami posuwają się dalej, niż rząd i wespół z innymi uchwalają zaostrzenie powyższe w zaostrzonej jeszcze redakcyi. Podobno jednocześnie i Rada związkowa topnieje wobec jezuitów: tak więc zasada „daj, jeśli chcesz mieć,“ zwycięża. Za kulisami toczą się układy. Nie przeczą im uchodzący za dobrze powiadomionych; twierdzą tylko, że rząd nie jezuitami, ale szkołami zapłaci za „Umsturzvorlage.“

Cesarz Wilhelm nie mógł z 36-ej rocznicy urodzin swoich (27 stycznia) nie zrobić 25-ej rocznicy wojny z Francyą. Wojna ta — według rozkazu do armii — „narzuconą została ojczyźnie,“ ale ją „doprowadziła do związku plemion i monarchów niemieckich,“ do „fundamentu wielkości i rozwoju.“ Cesarz Wilhelm nieraz już zapominał, że milczenie bywa złotem. Francya już podrażniona — co dalej?

Król belgijski ma zatarg o swoje Kongo ze swoim narodem: daje ogromną krainę, naród jej nie chce. Dotychczas spór toczy się dopiero w opinii: wkrótce roznamiętni Izbę posolską. Leopold II, zniechęcony, ma zamiar abdykować.

Na dalekim wschodzie japończycy nie przestają walczyć z chińczykami i z zimą. Na widowni północnej d. 17 z. m. generał Nodsu odparł korpus chiński pod Haiczengiem i idzie dalej na Niu-czuang nad zatoką Liao-tońską, skąd już z wiosną będzie mogła siła lądowa wespół z morską uderzyć na Tien-tsin przez Ta-ku i na samą okolicę Pekinu. Do takiego działania wszakże potrzeba jeszcze obfitych posiłków. Na widowni południowej d. 18 z. m. 25,000 japończyków wylądowało w zatoce Jung-czyng, o jakie 10 mil na wschód od Wei-hai-Wei, drugiego, po Port-Arthur, arsenału i portu wojennego Chin. Na przyszły tydzień można przewidywać działanie już bezpośrednie przeciwko warowni, gdzie prócz ludzi także i okręty w ręce nieprzyjacielskie wpaść mogą. W Pekinie bawią się wciąż w oszukiwanie samych siebie i liczą na dyplomacyę europejską, że tak

---

Mężczyźni.

— Teraz znowu to robactwo lezie.

— Do matek, szczeniaki!

— Na ogień jednego z nich, będzie dla innych pieczeń!

Dzieci rozproszyły się z płaczem.

— Trzeba było małym dać do ogryzienia chociaż parę kopyt.

— Będzie jeszcze na to czas.

Pożerali z chciwością mięso, rozrywając je palcami i zębami. Dzikie twarze powlekły się zwolna zadowoleniem i drgały.

Przy drugiem ognisku.

— Wtedy właśnie Ukor ten sposób wymyślił. Oni również, jak ci, mieszkali na drzewach. Skoro ich otoczyliśmy, powciągali drabiny i zaczęli nas gromić z wysoka. Kilkudziesięciu, którzy spuścili się niżej, strąciliśmy strzałami, ale siedzącym na wierzchołkach nie mogliśmy nic zrobić. Więc rozłożyliśmy się wokoło obozem, żeby ich oglodzić. Ale upłynęło wiele dni, a oni się nie poddawali. Gdy im brakło pożywienia, ogryzali korę, liście i drobne gałązki, a nieraz w nocy zsuwali się po cichu na ziemię i jeszcze nas okradali. Bo są zwinni, jak pawiany! Wreszcie i nam głód zaczął dokuczać. Wtedy Ukor kazał zapalić ogromny krąg drzew. Spadało to, jak podkurzone liszki. Niektórzy jednak nie ruszyli się z miejsc, chociaż ich płomień pożerał i dym dusił. Znajdowaliśmy ich potem martwych w rozwidleniach gałęzi, ale nie można było żadnego nawet skosztować, bo strasznie cuchnęli.

— A co zrobiliście z jeńcami?

— Pozdychali wszyscy, zapomnieliśmy ich żywić; zresztą nie było czem.

— Słyszycie ryk?

— Lwy zapraszają się do naszej kolacyi.

— Może w nich siedzą duchy, które nam zaszkodzą, jeśli im nic nie damy...

— E, bajdy!

— Wcale nie. Najstarsi ludzie zapewniają, że dusze zabitych nieprzyjaciół wlażą natychmiast w dzikie zwierzęta i przychodzą w nocy do obozowiska dla dokuczenia zwycięzcom.

— Czyś ty albo ktokolwiek z was widział ducha?

— Widziałem na własne oczy dwa otwory w skale, przez które one dostają się do drugiego świata: mniejszym przechodzą dusze zwyczajnych ludzi, a większym dusze wodzów.

— Kiedy podobno wszystkie zbierają się na wysokich górach i odrazu wskakują do nieba.

— Nie wskakują, ale zajeżdża po nie chmura turkocząca grzmotem i zabiera je ze szczytów.

— Ale gdzie tam! Wchodzą po tęczy, która dlatego wygina się na niebie i opiera na ziemi.

— I to nieprawda.

— Nie mów tak głośno, bo sprowadzisz złe. Słyszysz? Znowu ryk...

— Ja wcale nie rozumiem, po co duchy mają włazić w zwierzęta, kiedy im lżej i bezpieczniej przelatywać samym. Mogą przecie fruwać i nikt ich nie zabije...

— W każdym razie trzeba im coś zostawić.

— Zmik przyrzekł, że się z nimi załatwi.

— To jedzmy.

Przy trzeciem ognisku.

— Słoniowi dorównywał w mocy. Pamiętam, jak wyciągnął z wody zabłąkaną łódkę, w której siedziało pięcioro ludzi, wziął ją z nimi na ramię i przyniósł do obozu.

— Jednak Alrun rozbił mu głowę, jak łupinę.

— Ba, spróchniały pień wywrócić łatwo.

— Są tacy, co nigdy nie próchnieją i żyją wiecznie. Widziałem wodza Ko-ko-ków. Łeb miał tak wielki, że w jego kudłach dziecko mogłoby się przespać, a on by myślał, że w nie świerszczyk się wsunął. Kiedy raz podczas bitwy zbrakło mu strzał i zaczął ciskać odłamami skały, to nieprzyjaciele pierzchali przed nim, jak kurz przed wiatrem.

— Najstraszniejszy jednak był wódz Czarnych Grzechotników. W rękach miał śmierć i więcej ludzi nam zabił, niż trąd. Zdzierał tylko skalpy bród, ażeby nie my-

sympatycznemu państwu krzywdy zrobić nie pozwoli.

BADANIA NAUKOWE.

ALKOHOLIZM

(z powodu odczytu dr. M. Flauma).

Dr. M. Flaum miał najzupełniejszą słuszność, kiedy, opierając się na fizyologii, dowodził publiczności, zgromadzonej na jego odczycie, że alkohol jest trucizną, o ile nie bywa pobierany w dawkach, zapisanych przez lekarza — dodajmy, trucizną względną, przyjemną. Wywody te jednak nie przeszkodziły, ażebym, opuszczając salę, nie wyszedł z przekonaniem, że prelegent należy do tych szczęśliwców, których życie jeszcze nie zgniotło w swoich uściskach i którzy zatem usiłują przystosować nie teoryę do rzeczywistości, lecz rzeczywistość do teoryi. Są chwile, gdy mózg kompletnie odmawia posłuszeństwa, wyjałowiony bezustannem wysączaniem z siebie soków i zamianą ich na marnie opłacane artykuły: pod czaszką pustka przeraźliwa, pióro przekreśla wyraz po wyrazie i nie może z nich ułożyć porządnego zdania, wszystkie nerwy zżymają się przeciwko bezmyślnemu deptakowi, w którym mija dzień za dniem. Organizm domaga się narkotyku—gwałtownie, nieprzeparcie. Cóż spracowanego wysiłkiem umysłowym obchodzi fizyologia, wołająca, że absynt jest trucizną, że próżnię po paru minutach uczyni on jeszcze dotkliwszą i jałowszą! Tu chodzi nie o podnietę, lecz zapomnienie. Te parę kropel przyjemnego jadu, jakże są niewinne w porównaniu z denerwującą pracą przekuwania drgań swego mózgu na wiersze! Kto zaznał roboty dziennikarskiej, ten na pewno wyrzecze się wszelkich kazań na temat zatruwania organizmu przez alkohol i weźmie rozbrat z wszelkiemi fizyologiami, bo uświadomił sobie, że nie jest to jeszcze jad, najzgubniej wpływający. I nie będzie nawracał rzeszy ludzkiej, bo pojmie, że wskrzesiłby tradycyę Danaid, które usiłują sitem zaczerpnąć wody. Są zajęcia, których przedstawiciele, mimo całej znajomości praw fizyologicznych, raczej by wystawili pomnik nieznanym odkrywcom związków alkoholicznych.

Dr. M. Flaum jest jednym z pierwszych w naszym kraju chorążych liczniejszego gdzieindziej zastępu, który w różnych okolicach obszaru cywilizacyjnego wypowiedział wojnę użyciu trunków i toczy ją niekiedy w sposób okrutnie zawzięty. Przeciwnicy wstrzemięźliwości powiadają, że ta wyprawa nie pozostała bez owoców i że nawróconych jest sporo, pono aż miliony. Warto w tę sprawę wejrzeć nieco bliżej i wykazać, o ile głoszone rezultaty są gruntowne. Naprzód jednak rzucimy okiem w daleką przeszłość, przyczem z góry uprzedzimy czytelnika, że podzielamy zupełnie czyjeś zdanie heretyckie, jakoby pijaństwo i alkoholizm były zjawiskami nawskróś nowożytnemi. Ktoś nam powie, że trunki istnieją przecież z dawien dawna. Tak — istnieją one od czasów niepamiętnych, mimo to twierdzimy stanowczo, że alkoholizm zrodził się niedawno: przyjemności, dostarczanych przez miłość i puhar, istota ludzka zawsze łaknęła, ale za dawniejszych czasów tamta nie mściła się zarazą, rujnującą organizm, ten zaś nie pozostawiał po sobie obłędu i nie zatruwał w łonie matki przyszłych pokoleń epilepsyą. Piwo i miód, oraz wino — trunki starej daty — zawierały naprzód niewielką dozę alkoholu, były nadto warzone w domu własnym na użytek gospodarza i nie znano umiejętności fabrykowania barwy, i smaku—chociażby przez domieszkę ałunu, jak to się dzieje dzisiaj z winem. Napój był przyjemny, orzeźwiał organizm, lecz nie rujnował go, produkcya zaś trunków, zamknięta w ciasnej arenie gospodarstwa naturalnego, była pod względem swoich rozmiarów nader skromną i kładła najskuteczniejsze hamulce żądzy ludzkiej: była to przeszkoda lepsza, aniżeli wola, do której odwołują się dzisiejsi szermierze wstrzemięźliwości. Dopiero w wieku XVI nauczono się pędzić gorzałkę, naprzód z żyta, potem z kartofli. To odkrycie odrazu burzy dawną niewinność używania trunków i otwiera inny okres dziejowy, ciężarny alkoholizmem i obłędem. Produkcya trunków zrywa wązkie tamy: z żyta i z kartofli można wytwarzać potoki wódki! Do tego nadchodzą jeszcze udoskonalenia w zakresie transportu towarów. I oto teraz z gorzelni zaczynają wydobywać się istne rzeki absyntu i rozlewać się po całem społeczeństwie. Trunek to podły, lichy, w skład jego wchodzą najszkodliwsze odmiany związków alkoholicznych, ale — tani! Instynkt ludu przedziwnie zrozumiał doniosłość tego przełomu w produkcyi napojów podniecających i nie omieszkał ubrać wynalazku w szaty legendy. Podania nic nie mówią o rodowodzie piwa i miodu, ale o wódce rozwodzą się szeroko. Dyabeł postanowił zgubić dusze ludzkie i najął się do gospodarza: pracował jak wół i przysporzył mu mienia, ale odchodząc, popsuł wszystko, bo nauczył go pędzić gorzałkę. Dobytek, nagromadzony wysiłkami przeklętego parobka, poszedł na marne. Gospodarz zasmakował w trunku i wraz z mieniem przepił w dodatku własną duszę. Dopiero wielka produkcya, która w dziedzinie trunków powstała z wynalazkiem pędzenia gorzałki z kartofli, stwarza kwestyę alkoholizmu. Dzięki jej z piasków zaczęto wydobywać pieniądze. Człowiek zaś wobec tej masowo produkowanej trucizny nie zna żadnej powściągliwości, prócz słabego wędzidła własnej woli. Szaniec to nikły i słaby, zwłaszcza kiedy jego siedliskiem jest zdenerwowany i żądny narkotyku organizm. Spragniony jadu, może się teraz kąpać w nim, jak w morzu: nietylko wódka płynie potokami, ale też wino, tj. ta sama wódka, zaprawiona jedynie różnemi substancyami. Ciekawe to nad wyraz dzieje, opowiadające o pierwszej powodzi absyntu, wyrabianego z kartofli! Mamy pod ręką właśnie takie wspomnienia jednego z naocznych świadków. „Następstwa bezprzykładnego spadku cen okowity, który w różnych okolicach dał się odczuć w różnym czasie, ale wszędzie występował znienacka, były zadziwiające. Bardzo dobrze zapamiętałem tę chwilę, kiedy tania wódka wtargnęła do przemysłowego okręgu w Westfalii. Tłumy oddały się całkowicie pijaństwu. Od dziewiątej wieczorem włóczyły się wśród wrzasków, z szynku do szynku, gromady podpiłych mężczyzn w uścisku wzajemnym przez całą szerokość ulicy, aż wreszcie nieprzytomne udawały się na spoczynek. Każda wesoła chwila kończyła się na dzikiej bijatyce i na niezbędnem kłuciu nożami, krew się lała, niekiedy bójka kończyła się czyjąś śmiercią. To działanie taniej gorzałki trwało w ciągu lat wielu i dopiero zwolna

---

ślano, że mordował kobiety. Zabranych do niewoli dzieci używał jako przynęty na lwy, na które rzucał się z zasadzki i powalał jednem uderzeniem. Probując ostrza włóczni, przebił nią odrazu sześciu jeńców. Nie można go było pokonać, bo zjadał serca wrogów a swoje miał ukryte na niedostępnej wysepce w jajku kaczem, którego nikt znaleźć nie zdołał.

— Zdaje się, że i Alrun również niezwyciężony. Patrzcie, czyż my nie wyglądamy, jak jego dzieci? Olbrzym! Gdyby stanął w lesie i rozpostarł ramiona, płochliwe głuszce siadałyby na nich, sądząc, że to konary dębu. Dobrze się stało, że on nam przywodzić będzie. Szkoda tylko, że ta dziewka w niego wpadła.

— Która?

— Orla.

— Owszem, niech w nim siedzi, będzie jeszcze sroższy i mężniejszy, dopóki jej nie schwyta. Kiedy się dowiedział, że uciekła, z początku rad był, że Ukor nie będzie jej miał, ale potem tak sapał złością, jak zraniony nosorożec.

— Wynajdzie ją, czy nie — wszystko nam jedno, aby tylko był dzielnym wodzem, do czego wkrótce zdarzy mu się sposobność, bo nasi ludzie dostrzegli Szaro Ogony, myszkujące w okolicy. Dawajcie już mięso!

— A czy Zmik jest zaopatrzony dla siebie i bogów?

— Alrun pozwolił mu grzebać w naszych zapasach, jak dzikowi w żołędziach.

— Trzeba o niego dbać — to cudotwórca! Sam widziałem, kiedy Ukor raz zachorował, Zmik kazał znaleźć białego psa z jedną czarną łatą, w tę łatę ugodzić go oszczepem i ugotować z uszu polewki. Ukor wypił ją i natychmiast wyzdrowiał.

Przy czwartem ognisku.

— No więc cóż zrobią — żwiru sobie w żołądki nakładą? Jeżeli mamy je trzymać — to musimy karmić.

— Naturalnie. Próbowałem już i tego, kiedy nieprzyjaciele odbili nam wszystkie. Bez kobiet długo żyć niepodobna.

Zaczęli rzucać po za siebie kości i kawałki mięsa, które chciwie zbierała po ziemi lub łapała w powietrzu czereda kobiet i dzieci.

— Jakie to złe i żarłoczne! Ja bym chętnie zgodził się, ażeby ze wszystkich stos ułożyć i potem nowych nie sprawiać. Wy jesteście młodzi, więc nie macie doświadczenia, ale ja już wiele tych żmij poznałem. Woda morska dlatego jest słona, że w niej toną mężczyźni, a dlatego gorzka, że w niej toną kobiety. Żadna z nich nie spotkała nigdy śpiącego zwierzęcia, bo każde z najtwardszego snu się obudzi, jak mu tylko nozdrza jej woń z daleka podrażni. Owad dopóty żyje, dopóki się z samicą nie połączy. Mądrzy bogowie obdarzyli nas kobietami, ale sobie nie zostawili ani jednej sztuki; oni też są szczęśliwi i potężni, a ludzie biedni i słabi.

— E, i oni je mają, bo jakżeby się rozmnażali.

— Nie słyszałem o bożych żonach.

— Ja tam kobietami nie gardzę, a nawet chętnie bym gdzieś osiadł z kilkoma. Sprzykrzyła mi się już ciągła włóczęga i bitwy.

— A cóż byś jadł, gdybyś wyłowił i wybił wszystkie zwierzęta w okolicy?

— To też wędruję z wami. Pewien stary człowiek opowiadał mi taką bajkę. Był wszechwładny mocarz, który wszystko zjadał. Chodził w złocistej szacie i nazywał się Ogień. Miał dwóch synów. Jeden żwawy, lotny jak ptak, rozpostarł niebieskie skrzydła i odfrunął od ojca. Zwał się Dym. Zaledwie wzbił się w górę, napadł go wiatr i podarł na strzępy. Drugi spokojny, szaro przyodziany, pozostał na miejscu i po śmierci ojca odziedziczył wszystko, czego ten nie spożył.

— I ja słyszałem tę opowieść, ale inaczej: Dym, najadłszy się przy uczcie z ojcem do syta, poleciał w świat i żyje dotąd, a Popiół umarł i wiatr go zasypał. Widzicie na niebie te sine i białe obłoczki? To dymy, którym tam dobrze. I nam dziś dobrze, bośmy syci, więc śpijmy. Dzień już wstaje, gwiazdy z nieba zwolnie i wkrótce budzić nas zacznie.

(D. c. n.)

utraciło swoją gwałtowność!“ Obraz to ponury, ale, niestety, prawdziwy, a przewybornie ilustrujący ów przełom, który został wywołany przez spadek cen gorzałki skutkiem ulepszeń technologicznych. I fizyognomia pijaków przybiera teraz inny wyraz. Miód rozwiązywał języki naszym pradziadom, łagodził zmartwienie, stosunek pomiędzy towarzyszami czynił serdeczniejszym. Organizm, zasobniejszy w soki żywotne, krzepki, w kieliszku szukał czegoś innego — szło mu o chwilę humoru i śmiechu, ale nie o zatrucie robaka i znalezienie bezwładności. Jak sympatycznie wygląda trunek u Reja i innych pisarzy ówczesnych i jak — nie powiem — odrażającą, ale przygnębiającą postać posiada w utworach nowożytnych! Niekiedy człek przebrał miarkę, ale zdarzało się to rzadko, podczas uroczystości rodzinnej. Przynajmniej tak było i tak być musiało pomiędzy ludem, u szlachty bowiem ilość trunków jest obfitszą i pijaństwo częstszem. Opilstwo jest podówczas zjawiskiem klasowem, jak zawsze zresztą; tylko że wtedy ta warstwa ludności oddaje się więcej trunkom, która jest zamożniejszą. Z dobą nowoczesną stan rzeczy się zmienia. Gorzałka jest trunkiem demokratycznym, bo dostępnym nawet najuboższemu. Jednocześnie zdenerwowanie wzrasta i organizm poszukuje narkotyku nietylko do rozweselenia się, ale przedewszystkiem dla stępienia nerwów. Organizm zubożał i podupadł w swojej żywotności. Wola tem samem staje się bezsilną, najlepsze zaś intencye nic tam nie wskórają, gdzie ciało utraciło swoją odporność.

I cóż wobec tego czynią apostołowie wstrzemięźliwości? Prawią kazania na temat ćwiczenia woli, wobec tysiącznych pokus. O powodzeniu może być mowa tylko wyjątkowo, bo przyznam się, że nie wierzę w moc charakteru, kiedy organizmem owładnęło zdenerwowanie. Propaganda ma tylko wtedy przed sobą widoki, gdy dotyczy warstw, nieznających nadmiernego a denerwującego wysiłku. Tutaj należy zaliczyć włościan. Bynajmniej nie chcemy powiedzieć, ażeby byt chłopa był usłany różami i praca jego lekką. Żywot to ciężki, pełen trudów fizycznych, ale, bądź co bądź, wysiłki nad rolą nie wycieńczają organizmu. Praca odbywa się na świeżem powietrzu, mięśnie są ćwiczone wszechstronnie, oracz w każdej chwili może wypocząć nieco nad pługiem, jest bowiem na własnym zagonie. „Nerwów“ tam jeszcze niema. W takich warunkach użycie trunków poniekąd dochowało na wsi dawny swój charakter: włościanin pije dla „raźności,“ jak odpowiedział mi niegdyś gospodarz wiejski. Alkohol nie stanowi tam potrzeby organizmu, który bez niego może się obyć. Wola, nieosłabiona przez zdenerwowanie, zdolną jest do stawiania oporu pokusie, wyglądającej z kieliszka. Wdzięczne to pole dla apostołów wstrzemięźliwości! To też wszędzie, gdzie mogą pochwalić się rezultatami poważniejszymi, zawdzięczają je posłuchowi, jaki znaleźli pomiędzy ludnością wiejską. Stan Dakota dozwala na sprzedaż trunków jedynie w aptekach i to w dawkach nieznacznych, bo farmer może się obyć bez narkotyku, ale przemysłowe Chicago jest pełne szynków. Badając rozpowszechnienie się prądu wstrzemięźliwości w Ameryce północnej, niepodobna nie dostrzedz różnicy pomiędzy ogniskami przemysłu a okolicą rolniczą. To samo widzimy w naszej części świata. Norwegia, Szwecya, Bawarya, Szwajcarya, Tyrol, właśnie kraje, posiadające liczne a zamożne względnie włościaństwo, są okolicami, w których propaganda anty-alkoholistów przyjęła się szerzej i ze skutkiem. I walka, podjęta przeciwko trunkom, jeżeli pragnie być czemś więcej, niż stratą czasu, powinna skierować się ku wsi. Ale tam, gdzie mocno tętni nowożytne, tak gorączkowe życie, gdzie praca jest jednostajną i nużącą, gdzie brak często powietrza i ruchu zabił do reszty wszelką odporność organizmu i zrodził „nerwy,“ o! tam z posiewu kazań nie będzie innego plonu, prócz stosów zadrukowanej bibuły! I znowu nie chcemy zaprzeczać, ażeby tu i owdzie rzecznicy wstrzemięźliwości nie dopięli celu. Sami gotowiśmy wskazać parę okolic przemysłowych, gdzie pozamykano szynki. Ale jeżeli gdzieś gorączka dzisiejsza weszła głęboko, tam poprawa jest tylko pozorną. Porzucono alkohol, ale natomiast wzięto się do nadużywania innych narkotyków. Właśnie posiadam pod ręką ciekawe w tej mierze szczegóły, dotyczące kilku zakątków na lądzie amerykańskim. Zamiast gorzałki, zaczęto upijać się — eterem! Nie wchodzę w to, który z tych narkotyków jest zgubniejszy, sądzę, że ostatni, ale poprzestaję tylko na podkreśleniu faktu, że organizm, przed którym zamknięto jedną truciznę, niebawem wyszukał sobie inną. Takiego owocu propagandy chyba niepodobna nazwać dodatnim! Wogóle towarzystwa wstrzemięźliwości doznają mnóstwo niespodzianek, o których dyskretnie milczą. Zastępy ich składają się z kobiet. Nie dziw, że mężczyzna po jednym narkotyku usiłuje na czas powien zażywać inny i znajduje przyjemność w pozwoleniu młodym apostołkom nawrócenia siebie na wiarę wstrzemięźliwą. Kiedy zaś to się znudzi, znowu od flirtu powraca do kieliszka. Fakt to ogólnie znany w Ameryce! Na miejsce renegatów pojawiają się inni i towarzystwa wstrzemięźliwości wciąż coś czynią i kogoś nawracają, co dodaje im otuchy, chociaż w gruncie rzeczy wszystko obraca się w tem samem kółku i po za nie nie wychodzi. Jak dotychczas, znam tylko dwie namiętności, które posiadają siłę przeciwdziałania skłonności do trunków: polityczną i religijno-sekciarską. Generał Booth osiągnął w tej sprawie może największe rezultaty. Ale i w tym wypadku mamy do czynienia z narkotykiem ekstazy zbiorowej: owe marsze przy dźwiękach hałaśliwej muzyki, śpiewy chóralne i musztry, oto sprężyny nawrócenia. Trunek alkoholiczny zastąpiono przez inny, duchowy *).

R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Z POWODU KONKURSU.

II.

Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, natomiast dwom malarzom — drugie. Jedna z nich jest zbrodnią społeczną, druga—osobliwym faworem, który jedynie sezonem faworkowym da się wytłomaczyć. Tamta woła o pomstę do nieba, jako świadectwo chorobliwego w naszem społeczeństwie filosemityzmu, który zakrada się widocznie i do towarzystwa artystów, skoro ma czelność uwieńczania malarza, o nazwisku zaczynającem się na „Hirsz,“ a kończącem na „berg.“ To zaś jest dowodem coraz większego lubowania się warszawian w t. zw. „nonszalancyi,“ czyli zaniedbanym nieco gwoli większej fantazyi szyku, połączonym z pewnością siebie.

Obraz Hirszenberga przypomina trochę jego dawniejszy: „Jeszyboth,“ rodzajem i nastrojem. Tylko że teraz mamy przed sobą scenę mniej głęboką, skupioną i mistycznie egzaltowaną, a bardziej rodzajową i powszednią. Motyw niezmiernie prosty i wybornie wyrażony w układzie figur, wyrazach twarzy, oświetleniu. Jest to świąteczne zacisze rodziny prawowiernej żydowskiej. Wszyscy zebrali się w pobliżu okna i słuchają czytania; dziewczyna prosta w czerwonej chuście, z wyraźnym akcentem siły charakteru i poważnego zamyślenia, stoi oparta o framugę. Stary ojciec w krymce na siwej głowie, poważny jak patryarcha, niezmiernie naturalny, uginający się pod ciężarem powszedniego życia, bez żadnej pozy, siedzi sobie wygodnie, pochylony i tak zadumany, że jest prawie „zapatrzony w coś,“ jak człowiek, któremu doświadczenie, wiek i rozum pozwalają bujać myślą niekoniecznie w takt z otaczającymi. Jest to pyszna, psychologicznie prawdziwa i bardzo wyrazista głowa. Również dobrym i pełnym charakteru pomysłem jest matka, która leży w łóżku w połciemiu, zakopana w betach, z twarzą przewiązaną chustką, ale przytomnie i żywo zaciekawiona treścią książki. I inne postacie są doskonale dobrane, urządzenie i wygląd pokoju, resztki owoców na talerzu, jak gdyby po obiedzie sobotnim — wszystko podpatrzone, szczere. Artysta wypowiada bardzo wiele — to jego główna zaleta—nie uciekając się do środeczków, i sztuczek. Tę rodzinę widz rozumie wyśmienicie i zgaduje ją, jak zo znajomych portretów — domyśla się, że jest w niej ciepło, miłość, powaga, pobożność, prostota, i że ona spędza święta i wogóle czas wolny na rozrywkach pouczających, poprzestając na własnem towarzystwie. Jest to obraz w całem znaczeniu tego wyrazu rozumnie skomponowany, z bardzo naturalnem a jednak efektownem wyzyskaniem światła z ulicy, odczuty i na tle motywu dosyć mało popularnego i mało estetycznego, przeprowadzony szlachetnie.

Gdyby mi dano do wyboru portret pędzla Olgi Boznańskiej (także nagroda druga) i obraz Lentza — któremu przyznano trzecią, wolałbym ten ostatni, każdy zaś z nich chętnie zamieniłbym na portret krakowianina Mehofera. Pani Boznańska maluje zręcznie, efektownie, z tem pozornem, tak podobającem się zaniedbaniem, które ma racyę bytu i jest smaczne jako reakcya przeciw dłubaninie dawnych pędzli i przeciw urzędowości i sztywności pozy, która tyle portretów dawnej daty szpeci. Ale dziś już sztuka odświeżyła się, straciła niemiecką ciężkość, zyskała dużo francuskiej brawury i na nowo wymaga pogłębionej treści. Prawdziwie dobrym portretem nazwałbym taki, w którym jest i jak największa naturalność, a bodajby i przygodność pozy i dużo siły w twarzy. W pracy, o której mowa, jest tylko pierwszy warunek. Spojrzenie w bok, wygodne usadowienie się, nastawiony od niechcenia kołnierz surduta, ładne ręce i lśniące długie paznokcie — oto czynniki szyku i szerokości traktowania. Twarz jednak sama nic wyraża nic i trudno daje się zapamiętać, nadto prawe oko trochę przekrwione i forsownie zwrócone na bok. Takich dzieł było już u nas dużo.

Co innego Mehofer. Oto siedzi przed tobą w pracowni swej artysta, jest mu widocznie zimno, więc grzeje się przy żelaznym piecyku; jest mu też smutno i posępnie na duszy — rzekłbyś, iż ma i wewnątrz siebie zimę. Jest to obraz niezmiernie lakoniczny i niezmiernie zdecydowany. Twarz zadumą swą i melancholią przykuwa do siebie; kontur całej postaci silny, koloryt ubogi z rozmysłu i wszelkiej efektowności pozbawiony. Na głowie fez turecki czerwony, ot i wszystko — wszystko

*) Szło mi tylko o społeczne warunki pijaństwa oraz propagandę wstrzemięźliwości. Mógłbym jeszcze zajrzeć do danych statystycznych, wykazujących, na czem w gruncie rzeczy polegają powodzenia apostołów, gromiących alkoholizm. W Hanowerze propaganda pastora Seblnga nawróciła na wstrzemięźliwość aż 82 tysiące osób. Niestety, w tej liczbie było 30 tysięcy dzieci i 27 tys. kobiet! Ale to leży na razie po za zadaniem niniejszego artykułu.

weszło w człowieka, zamiast go rozpraszać na martwe otoczenie, ozdabiać go i sprowadzać do roli jednego ze sprzętów malarskich. Tendencya ta jest widoczną, gdy zważymy, że w drugim obrazie tegoż artysty, przedstawiającym ogromny pejzaż rzeczny, jest i wielkie ożywienie kolorystyczne i siła tonów lokalnych. Co więcej, nawet ta siła właśnie, przesadzona, jak gdyby kroiła na pewną fantastyczność, zepsuła krajobraz, rozległy, poetyczny, nastrojony i nader powietrzny. Niebo tak zielone, jak nie bywa nigdy, jest po prostu jakąś zagadką. Szkoda, bo motyw pojęty został wspaniale, a całość mogłaby łatwo stać się znakomitą.

Co do robotników p. Lenca, przychodzących rozmówić się ze swym chlebodawcą, to dają oni pochop do rozpamiętywań na temat zadziwiającej niejednolitości tego malarza. Poczucie charakteru i wyrazu doskonałe, zestrojenie pojedynczych tonów psychologicznych w jeden akord bez zarzutu, twarze, słowem, wymowne i zrozumiałe, sam wreszcie motyw świeży, nie ograny bynajmniej u nas — a jednak jakie to lakierowane i twarde! Z pewnością nie będzie naciągania, gdy powiem, że najmiększem ze wszystkich tych ludzi — jest biurko, starannie wystudyowane w kolorze i refleksach, podczas gdy robotnicy są ogromnie monotonni, pryncypał drewniany, a cały pokój sztywny, jak odnowiony mebel. W każdym razie robota to poważna, celująca zwłaszcza typem i ekspresyą środkowego z pomiędzy trzech towarzyszów, na którym wyraźnie czytamy onieśmielenie, namysł i żądanie.

Z pozostałych płócien konkursowych wyróżnia się kilka. Pana Wywiórskiego scena myśliwska w lesie jest urządzona głównie dla sypkiego śniegu, po którym błąkają się żółtawe promienie skośne słońca. Śnieg ten malowany jest wybornie, ale go stanowczo za dużo nawet w stosunku do ogromnych rozmiarów obrazu i wobec tego, że jednak chodziło tu w gruncie rzeczy o myśliwych. Ci wszakże pousuwali się gdzieś na ostatnie plany a główny teren zajmuje kopcąca gałąź, która ma wyobrażać ognisko.

Pan Weychert znów postąpił odwrotnie, zamiast rozpierzchłych rozrzuconych grup, które nieraz robiły wrażenie tapety, ześrodkował cały las sosnowy w odyńcu i uczynił wybornie. Ale cóż kiedy dzik ten zamiast być osaczonym przez psy, jest przez nie flegmatycznie lizany i napastnikom nie dzieje się żadna krzywda—iście cudowne polowanie! Dwaj chłopi ze strzelbami suną ku niemu spokojnie i bezpiecznie, jak gdyby chcieli np. usiąść sobie na nim i odpocząć. Krótko mówiąc, pojęcie sytuacyi jest tu poprostu naiwne i nie usprawiedliwia go bynajmniej objaśnienie, że to naganka chłopska.

Z prawdziwą przyjemnością patrzy się na obraz p. Wasilkowskiej (list pochwalny). Jest to niby portret dwu młodych kobiet, wygodnie usadowionych w buduarze i gawędzących z sobą po przyjacielsku. Patrzą na widza śmiało, ubrane są wytwornie, na twarzach całkiem naturalne uśmiechy i wyraz przyjemnej swobody. Za tło służą im rozmaite barwne draperye, doskonale pod względem koloru zharmonizowane ze sobą i z tonami ubiorów, a tony są silne i czyste, rysunek pewny i śmiały i obraz byłby jednym z lepszych, gdyby nie nadmiar tendencyjnie kolorowych materyi, gdyby nie natręctwo już za wielkich plam barwnych, które nadają całości pewien słabiutki odcień urządzenia scenicznego albo tapicersko-dekoracyjnego.

Ogromne płótno na temat wschodni, p. Ciąglińskiego, posiada parę ładnych i delikatnych twarzy kobiecych, ale jest wogóle szablonowe, po staremu natłoczone arabską galanteryą, a w dodatku rozpierzchłe, kiepsko wytłomaczone i pełne tylu rozmaitych rodzajów jasności i białości, że wprost męczy oko i nie pozwala mu się połapać w kompozycyi. Pana Radziejowskiego Matka Boska w postaci pięknej i świątobliwie wdzięcznej chłopeczki polskiej z dzieciątkiem na ręku, tchnie rzeczywistą poezyą. Jest ten rodzaj unaradawiania figur świętych nie nowym zgoła, ale mimo to w obecnym wypadku nie czuć w nim pospolitości; i świętość i przeczystość zostały zachowane i charakter swojskiej, rozumie się, mocno wyszlachetnionej wieśniaczki. Dzieciątko Jezus traktowane umiejętnie, naturalnie i pieszczotliwie. „Melancholia“ p. Radziejewskiego podoba mi się znacznie mniej; choć pojęcie rzeczy jest dobre i zamierzony nastrój wybornie dałby się osiągnąć przez postać młodej kobiety, w zadumie spacerującej śród samotnego pejzażu, to jednak nie ma tu krajobrazu, należycie wypracowanego, a sylweta kobieca jest nad miarę sentymentalną.

Pan Lindeman dał brzeg rzeki z przystanią; na ziemi, niebie i na wodzie dużo kształtów, świateł i cieni; powiedziałbym nawet, że dużo życia w falach dobrze rozruszanych, ale koloryt trochę podejrzany; ot tak, wszystkiego potroszę, żeby ogólny „smaczek“ był dobry—nie jest to jednak ani szczera natura ani szczery gust artysty, ale więcej chęć przypodobania się. To samo zastosowałbym do dwóch krajobrazów p. Rapackiego, z których jeden przedstawia noc księżycową pod miastem, a drugi—wielki ogród w zimie. Ten ostatni jest może mniej miły, ale za to prawdziwszy.

Niepodobna mi rozwodzić się nad innemi, mniejszemi lub większemi ozdobami konkursu, który wogóle wypadł wcale dobrze i świadczy o zainteresowaniu się niemałem kolonii malarskiej; wspomnę tylko o dwu artystycznych, choć nie koniecznie udatnych, zastosowaniach spirytyzmu, mianowicie w obrazach p. Owidzkiego i Ciechockiego—obadwaj jednak stanowczo do wywoływania duchów się nie nadają — są na to za mało eteryczni; pierwszy dał motyw, z którego możnaby zrobić rzecz ładną, coś niby wizyę, ukazującą się ogrodniczkowi przy pracy, ale nowela ta rozgrywa się na tle grubo tekturowem; drugi— młodego, w rozpaczy czy marzeniu pędzącego po komnacie mnicha z fatalnie narysowaną szyją i głową, kamiennie twardemi skrzydłami anioła—na tle drewnianem.

Cezary Jellenta.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— *Arcydzieł Szekspira* (w wydaniu lwowskiem) wyszły zeszyty 14—20: *Dzieł dramatycznych* Szekspira (w wydaniu Gebethnera i Wolffa) tom VI.

— *Dziejów powszechnych ilustrowanych* (wyd. F. Bondy w Wiedniu, skład główny u Centnerszwera w Warszawie) wydano zeszyty 3 do 12.

— [illegible] Majewskiego *Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych* polskich doszedł do zeszytu 9, tomu II.

— J. Verne, *500 milionów Begumy*, powieść fantastyczna, wyd. Guranowski. Dwu ludzi spokrewnionych, francuz i niemiec, otrzymało olbrzymi spadek, pół miliona franków. Pierwszy za swoją część wzniósł w Ameryce miasto szczęścia, drugi olbrzymią fabrykę potwornych armat, które to miasto miały zniszczyć straszliwymi pociskami. Plan ten wszakże został udaremniony. Dużo w tym utworze jest fantazyi, ale dużo nieprawdopodobieństwa i jaskrawej tendencyjności.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PLAMY NA SŁOŃCU. *)

Ziemiaństwo nasze—to dziecię pierworodne ogółu i jego opinii, a ogół ten raczej skłonny jest przebaczać i żałować, niżli obwiniać i karać. Każda bieda lub klęska, dotykająca ziemian, znajdują szerokie i szczere echo w społeczeństwie.

W kraju, jak nasz, rolniczym, klasa ta naturalnym bardzo biegiem rzeczy, zajęła wybitne miejsce. Prawo liczby każdy chętnie im przyzna, inne zaś—zdawałoby się—o tyle tylko, o ile je ona pozyska w społeczeństwie pracą dla niego podjętą. To napozór proste pojmowanie rzeczy jakże jest rzadkiem i wyjątkowem; dla znacznej większości jeszcze na długo tytuł właściciela ziemskiego będzie najlepszym paszportem, najbardziej pożądaną marką przyjaźni, widoków małżeńskich, słowem, wszystkiego dobrego, z jedynym wyjątkiem—dłużnictwa.

Bądź to dlatego, że ogół ma bardzo niedokładne pojęcie o ciężarach, przywiązanych do tytułu własności rolnej, bądź to siłą tradycyi, która z tej sfery wyprowadza najlepsze siły narodowe w przeszłości, bądź to, że posiadanie ziemi było przez wieki całe wyjątkowym przywilejem dobrze urodzonych, a więc możnych—ogół, powtarzam, zawsze dla ziemian przychylnie jest usposobiony, chętnie staje się obrońcą, niż oskarżycielem. Lecz ta sympatya nie powinna psuć faworyzowanych; nie powinna nigdy o tyle spotęgowywać ich dobrego mniemania o sobie, żeby aż uważali się za nietykalnych przez wyroki opinii ogółu, ile razy ten słusznie zapragnie korzystać z przysługujących mu praw kontroli społecznej. I choć ziemianie nasi, skutkiem niezrozumiałego dla nas pomieszania całkiem odmiennych pojęć, w oczach wielu jedynie są *obywatelami*, ze szkodą wszystkich innych stanów społecznych, toć przecie w świetle zdrowej logiki, zarówno oni powinni baczyć na swoje postępowanie *obywatelskie*, jak i wszystkie inne choćby nawet bardzo *nikczemne* stany i zawody; zarówno właściciel Szczęsnej Wólki, jak i pachciarz jego, Abramko, *mogą i powinni* być powoływani przed sąd publiczny, już choćby dla tego, że ten Abramko nieraz posiada poważne i silne prawa do tego, aby się w krótce stać właścicielem tejże Wólki.

W ostatnim lat dziesiątku ogół ziemian uderzył na gwałt o swoich klęskach i ruinie i znalazł w społeczeństwie, jeśli nie ratunek i pomoc natychmiastową, gdyż o to u nas najtrudniej, to ogromne współczucie i masę dobrej woli w radzie i błogosławionych chęciach.

Kolejno powstawały różne delegacye, komisye i sekcye, specyalnie interesom ziemian służyć mające i one pod hasłem obrony interesów ziemiańskich pracowały, jak mogły i umiały, a podobno (?) pracują aż do dziś dnia.

Ułatwienie i wyszukanie źródeł taniego kredytu, rozszerzenie działalności wszelkich spółek już istniejących i zakładanie nowych, wskazanie nowych dróg zbytu, obmyślenia najlepszych systemów gospodarstwa folwarcznego—to są zadania podjęte i... aż dotąd będące na porządku dziennym ciągłych obrad. A tymczasem ten i ów z ziemian, uśmiechając się łzawo na wieść o dobrej woli i wielkich planach pp.

*) Pozostawiamy autorowi swobodę wywodom z zastrzeżeniem, że nie we wszystkich punktach bezwzględnie przyjąć je można. *Red.*

radców, „brał się do kupy“ i starał natychmiastowymi środkami zapobiedz biedzie i grożącej ciągle eksmisyi z rodzinnego zagona. Lecz widocznie te usiłowania nie przyniosły wielkiego pożytku, bo płacz i narzekania słyszymy ciągle dokoła. Na szpaltach pisma, jak *Prawda*, przeznaczonego dla ogółu inteligentnych czytelników, choć nie rolników-specyalistów, nie od rzeczy będzie uchylić zasłony z życia naszych ziemian na ich własnym zagonie, dla zwrócenia powszechnej uwagi na te anomalie, które tam spotykamy, a którenmułą grają rolę w upadku naszych ziemian i ogółu gospodarstwa krajowego.

I. Budżet przeciętnego ziemianina.

Jaką przestrzeń ziemi możnaby u nas przyjąć za średnią własność ziemską?

Sądziłbym, że od 20 do 40 włók, a to w miarę wartości ziemi i jej wartości pod Warszawą, w Proszowskiem, Skalbmierskiem, Hrubieszowskiem, Sandomierskiem, Opatowskiem, aż do piasków np. Podlasia.

Niejednokrotnie wypadnie, że 20 włók będzie warte znacznie więcej, niż 40 w innej okolicy, lecz nas to mniej obchodzi w tym wypadku i wystarczy nam, że w granicach tych liczb własność ziemska jest u nas najliczniejszą. Co warte jest te 20 włók dobrej lub 40 gorszej ziemi? Licząc po 2,500 rubli za pierwszą, a połowę tej sumy za drugą i dodając po 10 tys. rubli na inwentarze w każdym z tych folwarków, otrzymawszy liczbę 60 tys. rubli, jako wartość przeciętnej średniej własności ziemskiej u nas. Przypuśćmy dalej, że taka własność jest obciążona 25 tys. rs. pożyczki Tow. Kred. Ziemskiego. Właściciel tedy jednego lub drugiego folwarku ma niezaprzeczone prawo do reszty od kapitału 60 tys. rub. *minus* procent z amortyzacyą, płacony corocznie Towarzystwu, czyli X—1437 rubli 50 kop.

Kapitał umieszczony w ziemi, jako najlepsza lokata, przynosi wszędzie w Europie bardzo nizką rentę, nie większą niż [illegible] 3½%. U nas pod tym względem dzieje się trochę lepiej i odsetki wypadają od 4%—5%, lecz nigdy i w żadnym razie nie wyżej, niż to mieć chcą nasi ziemianie, wiecznie kulejący na arytmetykę. Kapitał obrotowy, te 10 tys. rubli, w inwentarzach wszelkich, jako ponoszący większe ryzyko, powinien być oprocentowany wyżej, np. 8%

Na podstawie tych cyfr właściciel wspominanego folwarku *ma prawo* do następującego dochodu:

4½% od 50,000 rubli . . .	2,250 rs.
8% od 10,000 „ . . .	800 rs.
Razem	3,050 rs.

—1,437 rs. 50 kop. = 1,612 rs. 50 k.

Pozostaje teraz najdrażliwsza kwestya wynagrodzenia, jakie pobierać winien ziemianin za swą pracę, o ile sam zajmuje się gospodarstwem. Nie mamy tu żadnych danych, bo i trudno o nie bardzo, gdyż pracę każdej jednostki należałoby oddzielnie oceniać, a to w miarę uzdolnienia i sił. Wszakże nie odbiegniemy daleko od słuszności, naznaczając ziemianinowi na takim folwarku wynagrodzenie, za które mógłby on wynająć dobrego zastępcę. Mieszkanie z opałem i sześćset rubli rocznie — to dochód ziemianina, otrzymany z pracy własnej.

Nazwijmy go dla krótkości p. Pługiem; ma on swoje niezbite prawo do

1) renty, wynoszącej rocznie	1,612 rs. 50 kop.
2) wynagrodz. za pracę	„ 600 „ — „
Razem	2,212 rs. 50 kop. (a)

Jest to cyfra dość ścisła, bo zgadza się z rzeczywistą praktyką życiową. Przeciętna cena dzierżawna dobrej ziemi wynosi 200 rs. za włókę, a 100 rs. za lichą, a więc cała suma dzierżawna z folwarku wyniosłaby około 4,000 rs., tj. tyle, ile razem stanowi obliczony przez nas dochód właściciela folwarku, łącznie z opłatą Towarzystwa i podatków.

Obejrzyjmy teraz drugą stronę medalu, a mianowicie zbierzmy przybliżone cyfry rozchodu p. Pługa. Na wstępie zaznaczyć trzeba, że wśród naszych ziemian dzieje się z rozchodem całkiem inaczej, niż wśród innych zwyczajnych śmiertelników. Lekarz, adwokat, artysta, literat na podstawie przypuszczalnego dochodu układa pozycye rozchodu; nasz ziemianin radzi sobie inaczej. Wie on z góry *konieczne* pozycye swoich rozchodów i do nich *musi* naciągać przychód.

P. Pług mieć *musi*: rocznie:

1) Cztery konie cugowe do karety i powozu	480 rs.
Jednego wierzchowca dla siebie . . .	120 „
Dwa kuce dla swych pociech	90 „
Reparacyę i utrzymanie zaprzęgów i ekwipaży	60 „
Razem	750 rs.[1])
2) Służbę osobistą:	
Kucharza	180 rs.
Lokaja	140 „
Na pół dnia dziewkę do kucharza . . .	25 „
Chłopca kredensowego	50 „
Stangreta	120 „
Jego pomocnika	50 „
Ogrodnika	140 „
Pannę (szafarkę, ochmistrzynię) . . .	100 „
Pokojówkę	90 „
	[illegible]

z kosztami utrzymania połowy na ordynaryi, dru-[illegible]

3) Syna w szkołach w Warszawie . . .	500 rs.
Bonę lub guwernantkę w domu . . .	300 „
	800 rs.
4) Ogród kwiatowo-spacerowy	50 rs.

Te cztery pozycye wynoszą już 2,465 rs., a cały przychód wynosi podług (*a*) 2,212 rs. 50 kop. Już *nie mogę!*

A gdzież są pozycye:

5) Utrzymanie siebie i rodziny.

6) Wydatki księgarskie.

7) Stroje żony i córek, a także niewybredna garderoba p. Pługa.

8) Doroczne przyjęcia i fety.

9) Wydatki na cele użyteczności ogólnej.

10) Wycieczki do Warszawy lub do wód.

11) Lekarz i apteka.

12) Preferans po trzy grosze lub wint po pięćdziesiąt.

13) Oszczędności na czarną godzinę—itd.

Szkoda, że w liczbie ogłaszanych u nas konkursów nie spotkaliśmy takiego, któryby nagrodził sowicie rachmistrza, wyjaśniającego, skąd przeciętny ziemianin dopełnia te liczne braki, czerpiąc naturalnie tylko z należnych sobie pozycyj przychodu? My zaś łatwo znajdujemy rozwiązanie tej zagadki. P. Pług wlecze swój żywot kosztem kapitału, a to w sposób najłatwiej dla niego dostępny. A więc albo zaciąga pożyczki na drugi i dalsze numery po Towarzystwie, sprzedaje las, o ile go posiada, lub nareszcie korzysta z kredytu u małomiasteczkowych lichwiarzy.

Cóż dziwnego, że przy takim stałym budżecie, upadek cen na zboże — to nędza, a nieurodzaj, gradobicie lub pożar krescencyi — to upadek często bez ratunku. Kto winien? Jak sobie postąpić z wymienionemi pozycyami rozchodu?

Niech każdy z pp. Pługów sam sobie odpowie i sam zaradzi. (D. c. n.).

Napoleon Rouba.

LIBERUM VETO.

Rozkosz nieposiadania akcyj. — Nowy przedmiot gry giełdowej. — Piorun! popłoch. — Zwierzenia w *Kuryerze codz.* — Wszyscy grają. — Dlaczego uważamy to za złe. — Grający próżniacy. — Fantazye natury.— Niespodzianki dusz ludzkich. — Wyrok matematyczny. — Falb meteorologii człowieczej.

Być może, że czytelnicy *Prawdy* doznawali w zeszłym tygodniu wrażeń człowieka, który leżąc w ciepłem i wygodnem łóżku, słyszy szalejącą na dworze burzę i porównywa swój rozkoszny stan z nieprzyjemnościami tych, którzy podczas ulewy lub zawiei znajdują się w drodze. Jakże wtedy smakuje łóżko, trwałe ściany i niedziurawy dach! W obecnym wypadku dostarczyło tej rozkoszy... nieposiadanie akcyj, które znalazły się w wirze szalonego orkanu. Czytelnicy nasi, jeżeli skądinąd nie wiedzieli, to z kilkakrotnych zaznaczeń w *Prawdzie* zauważyli, że na tutejszej giełdzie, a raczej w tutejszym świecie handlowym ciągnie się od pewnego czasu zapamiętała, karkołomna gra w akcye rozmaitych banków i przedsiębiorstw prywatnych. Zrodziła się ona po zakazie dokonywania „obrotów“ spekulacyjnych rublami i miała wynagrodzić ten dotkliwy ubytek ludziom, którzy nie sieją, nie orzą, a muszą zbierać plony, tj. grać. Ta pasorzytnicza i próżniacza banda, która zapomocą rozmaitych sztuk giełdziarskich na całym obszarze cywilizacyi wysysa krew z produkcyjnych mozołów człowieczych; ta banda, która nieraz posiadając garść pieniędzy, zdolną wystarczyć jej zaledwie na przeżycie roku, potrzebuje z nich wydobyć spekulacyą środki na całe lata, nie mogła nie uchwycić jedynego źródła hazardownych zysków—akcyj bankowo-przemysłowych. Wyprawiała też z niemi szalone harce. Bez pozoru przyczyny, bez żadnego usprawiedliwienia podnosiła ich kurs do bajecznych wyżyn, ażeby go po kilku dniach lub miesiącach również bez pozoru strącić niżej właściwego poziomu. Tutejsi krętacze byli tylko ostatniemi rozgałęzieniami ramion polipa, który rozpostarł się po większych giełdach europejskich i którego łeb tkwił nieraz bardzo daleko od Warszawy. Jest to zasługą *Gazety losowań*, że ona pierwsza tę orgię dostrzegła i ciągle na nią zwracała uwagę. Pomimo jednak, że echa ostrzeżeń tego organu odbijały się w innych pismach, gra akcyami rozwijała się coraz bardziej, jej twórcy lekceważyli sobie napomnienia, a jej ofiary widziały błoto dopiero wtenczas, kiedy w nie wpadły. I byłby prawdopodobnie monte-carlizm giełdowy rósł bez przeszkody dalej, gdyby nagle nie spadł na niego piorun w postaci okólnika ministra skarbu. P. minister zwrócił się z przestrogą do publiczności, ażeby wycofała się co prędzej z odmętu, gdyż ostatecznie ona zapłaci koszty tej zabawki, pod którą ukryła się zdradliwa spekulacya. Wrażenie tego głosu było nadspodziewane: giełdy ogarnął popłoch, akcye wyległy do sprzedaży w ogromnej masie, kurs ich obniżył się straszliwie. Zachodzi pytanie: czy rzeczywiście w tej orgii o tyle przyjmowała udział publiczność, tj. ludzie, niebędący giełdziarzami zawodowymi, że aż potrzeba było urzędowego napomnienia? Wyznaję, że tego nie przypuszczałem, ale po przeczytaniu objaśnienia bezimiennego znawcy stosunków w *Kuryerze codziennym* widzę, że istotnie spadła zasłona z rzeczy, o której filozofom się nie śniło. Autor pisze: „W Warszawie nie ma w tej chwili żadnej instytucyi finansowej, żadnego większego domu handlowego, w którym albo cały, albo większa część personelu nie spekulowałaby na akcye—i to w takim rozmiarze, że przedmiot zaangażowania jednostek, nieposiadających 300 rs. majątku, dochodzi do kilkunastu a często do kilkudziesięciu tysięcy rubli. Ale to jeszcze nie cała jaskrawość obrazu. Twierdzę stanowczo, że nie ma dziś w Warszawie żadnej sfery ludzi, żadnej grupy zawodowej, w którejby spekulacya akcyami już nie znalazła zwolenników.“ Nie chodzi tedy o gromadkę żydków i fachowców, ale o masę, zmieszaną z najrozmaitszych pierwiastków społecznych. Jest to więc szał, ogarniający szerokie koła. Jeżeli tak dzieje się istotnie, to wartość wszelkich przestróg, usiłujących powstrzymać rozwój tak zaraźliwej choroby, nabiera większego znaczenia. Z drugiej wszakże strony, czy można liczyć na trwałość tych hamulców?

Wątpię. Kto kiedykolwiek widział tłumy ludzi, zalegających place i ulice przed kantorami loteryi, formalne oblężenia i szturmy do tych twierdz szczęścia, rozpromienione twarze zdobywców biletu, wielogłowe spółki, trzymające ćwiartkę losu i wyczekujące z bijącem sercem tabeli ciągnienia, kto to wszystko widział i kto przeczytał niezliczone artykuły i rozprawy o sposobach dopuszczenia jak największej liczby osób do łask fortuny i ukrócenia handlu biletami loteryjnymi, kto nakoniec pamięta, że resursy, kluby i domy prywatne codziennie „wintują," że totalizator ubogiego miasta „przerabia" podczas kilkodniowych wyścigów do 60,000 rs., ten chyba nie wątpi, że zamiłowanie do hazardu stanowi zasadniczy rys naszego charakteru. Jeżeli nie dadzą nam grać w loteryę, totalizatora lub akcye bankowe, będziemy grali w cokolwiek, w obligi kanalizacyjne, w biuletyny meteorologiczne, w ministrów francuskich itd.

Dlaczego właściwie wszystkie tego rodzaju operacye nazywamy złem? Co społeczeństwo traci na tem, że po skonczeniu partyi winta, wyścigów konnych, ciągnienia loteryi, lub kampanii giełdowej, kilka kilkadziesiąt lub nawet tysiące rubli przesuną się z jednych kieszeni do drugich? Zapewnie, gdyby tylko o to szło, szkoda byłoby kropli atramentu na zgromienie najbezmyślniejszego hazardu. Bo czy Piotr, skutkiem jakiejś kombinacyi kart lub ruchu gałki ruletowej, wziął od Pawła 3 rs., od Jana 5, od Marcina 4, czy też każdemu z nich zapłacił taką sumę, to dla ogółu jest wypadkiem zupełnie obojętnym. Nie potrzebuje on nawet cierpieć, gdy 100,000 rs. przeszło w grze od Piotra do Pawła. Inaczej wszakże ta sprawa wygląda ze strony moralno-ekonomicznej. Nie jest dla społeczeństwa objawem małoważnym, jeżeli znaczna ilość jego członków roznieca w sobie niezdrowe namiętności, z tego względu, że one osłabiają zamiłowanie i siły do pracy, która jest główną dźwignią jego dobrobytu i pomyślności. Przekształcając odpowiednio regułę Kanta, rzec można: złe jest każde działanie, które stawszy się prawem ogólnem, sprowadziłoby ruinę społeczeństwa. Wyobraźmy zaś sobie, że gorączka gry rozszerzając się coraz dalej, ogarnęła cały naród, co by go czekało? Przypuszczenie to jest czysto teoretycznem, rzeczywistą zaś naszą klęskę stanowi nowymi dowodami poparty fakt, że stosunkowo wypada u nas za wielu grających próżniaków, czy próżnujących graczów, którzy składają się na nasze ubóstwo

Falb może być blagierem i nieukiem, ale nikt nie zaprzeczy, że tego rodzaju człowiek przydałby się nam bardzo i to nietylko w dziedzinie kosmografii. Co do mnie z niezmierną tęsknotą wyczekuję geniusza, który by mi przepowiedział bodaj na miesiosiąc, że pewnego dnia ziemia dostanie drgawek lub mieszkający na niej ludzie wpadną w jakąś furyę. Zwłaszcza bowiem tych ostatnich wypadków dotychczasowymi sposobami badania i logiki nie można przewidzieć nawet o jedną dobę, skutkiem czego życie płynie łożyskiem nagłych zwrotów i najdradliwszych niespodzianek. Gazety donoszą, że Anglia była przed tygodniem widownią wszystkich kaprysów natury. Wzdłuż brzegów Szkocyi i na morzu Irlandzkiem hulał wściekły cyklon. W Londynie poprzedniego czwartku termometr spadł do 7 stopni mrozu, który nazajutrz ustąpił miejsca odwilży, a popołudniu lunął deszcz obfity z piorunami i błyskawicami. W Lincolnshire śród zawiei śnieżnej biły pioruny, poczem znowu zabłysła piękna pogoda. Wszystkie te niespodzianki są bardzo dziwne, dla wiedzy naszej niezrozumiałe a często nieprzyjemne. Ale ostatecznie można się z niemi pogodzić. Mówimy sobie: jesteśmy jeszcze głupi w meteorologii, jeśli deszcz pada—bierzemy parasol, jeżeli zaświeci ciepłe słońce—zdejmujemy futro—i basta. Większy kłopot z podobnymi objawami śród ludzi. Zdaje ci się, że znasz pewną ich gromadę, więc przewidujesz, że oni tak lub inaczej zachowają się w danym wypadku—i prorokujesz ze stanowczością Falba. Tymczasem nadchodzi ów moment, a twoi ludzie myślą, czują, robią akurat coś zupełnie przeciwnego twoim oczekiwaniom. Pioruny w zimie i upał po mrozie nie stanowią takiej niespodzianki, jakiej dostarczyć mogą nieobliczone w swych zwrotach dusze człowiecze. Ile razy one sprawiają nam nieprzyjemny zawód, mamy racyę im złorzeczyć, ale po uspokojeniu gniewu musimy powiedzieć sobie, że rozczarowanie jest tylko skutkiem naszych złudzeń, że my nie znamy wcale tych, których znajomością się chwalimy. Stara zasada uczy: nic nie dzieje się bez przyczyny, jeżeli więc jej nie widzimy, winna temu nie prawidłowość, która nigdy się nie łamie, ale nasza ślepota, która jej ogniw nie dostrzega. Gdy nasz zacny przyjaciel okazuje się łotrem, nasz mistrz—głupcem, nasza idealna żona—wietrznicą, to wcale nie znaczy, że te istoty nagle przekształciły się, ale że my przeniknąć ich nie umieliśmy. To samo stosuje się do większych i mniejszych skupień ludzkich, stronnictw, społeczeństw, narodów i ludzkości. Wtedy, kiedy mniemamy, że one według naszych obliczeń powinny zwrócić się na prawo lub iść naprzód, one zwracają się na lewo lub idą wstecz. Widziałem raz opatentowanego kilkakrotnie złodzieja, który przed sądem przysięgłych, opowiedział szczegółowo, jak dokonał bardzo sromotnej kradzieży. Zdawało się, że wyrok potępiający był matematycznie pewnym, że szkoda było czasu na słuchanie zeznań świadków i obron. Zadano przysięgłym pytanie: czy oskarżony popełnił kradzież, do której sam się przyznał? Po krótkiej naradzie weszli do sali i orzekli: nie winien! Oniemiałem! A ile razy jeszcze oniemiałem po tem! A ile razy oniemiał każdy z was! Wobec zaś tych nieraz potwornych rozumowań czy nie naturalnem jest pragnienie, ażeby jako prorocy ludzkich losów pojawiali się Falbowie, tylko szczęśliwsi w swych wróżbach, niż meteorolog niemiecki?

Poseł Prawdy.

W DALI.

Lublin. Pisma doniosły, iż p. Lubowiecki, właściciel majątku Malice, założył w pobliżkiem mieście powiatowem, Hrubieszowie, duży skład nafty, w celu uchronienia ludności ubogiej od wyzysku spekulantów, monopolujących handel. Fakt sam przez się byłby drobnym, ale wychodzącym po za ramki zwyczajnych spraw życia prowincyonalnego, gdyby nie to, że świadczy on o niezwykłej u nas przedsiębiorczości właściciela ziemskiego, który jeżeli zna się na handlu i czerpie towar bezpośrednio z wielkiego źródła—może tym sposobem przynieść pożytek i sobie i ludności okolicznej.

Radom. Ustawa normalna, zatwierdzona przez ministra spraw wewnętrznych, dała powód inteligencyi radomskiej do zabiegów około założenia Towarzystwa pomocy naukowej dla kształcącej się młodzieży. Odbyto już w tym celu narady i postanowiono ogarnąć owa instytucyą oba gimnazya: męzkie i żeńskie, tudzież szkołę miejską. Członkowie rzeczywiści opłacać mają rocznie rs. 3 albo jednorazowo 50. — Nowe pokłady rudy żelaznej odkryto w następujących miejscowościach gub. radomskiej: we wsi Tuchów (pow. iłżecki), Gowarczowie (pow. konecki) i w Rogowie (pow. radomski). Dzięki temu przemysł otrzyma nowe źródła podsycające.

Dąbrowa Górnicza. Stale rozwijające się stowarzyszenie spożywcze „Nadzieja," dała za rok ubiegły obrotu handlowego (wraz z filiami „Reden" i „Niwka") 380,000 rs., co w stosunku do roku poprzedniego przynosi przewyżki 85,000 rs.—Jeden z mieszkańców Częstochowy niedawno otrzymał odpowiedź odmowną na podanie o koncesyę pisma peryodycznego.

Wilno. Urzędowe dane zaznaczają znaczne zmniejszenie się w ostatnich czasach wywozu drzewa do Prus z gub. kowieńskiej i wileńskiej. W roku przeszłym wartość tego towaru, spławianego do Królewca i Gdańska obliczono na pół miliona rs. gdy przed trzema laty obrót wynosił około trzech milionów. Przyczyną tego zmniejszenia się jest oczywiście wytrzebienie lasów, z których nieoględnie przez długie lata czerpano bogactwa naturalne. Gorączka niszczenia nie ustaje wszakże. Dotąd do największych lasów zaliczano wołożyńskie, należące do hr. Michała Tyszkiewicza. Obecnie podobno spekulanci przystępują już do ich wycięcia.—Śród włościan miejscowych rozwija się wstrzemięźliwość coraz bardziej, ku wielkiemu niezadowoleniu szynkarzy. Tak przynajmniej twierdzą korespondenci-optymiści. Jeżeli tak jest istotnie, ciekawe byłoby zbadanie pobudek anty-alkoholizmu, które mogłyby dać poważne wskazówki dla moralistów, a pewne światło dla socyologów. Obok tego zasługuje na uwagę inny fakt: stale rozwijające się samobójstwo nie tylko śród inteligencyi, lecz i ludu. Korespondent *Wieku* utrzymuje, iż w jednym tylko pow. wilejskim w ciągu roku ubiegłego odebrało sobie życie 19 ludzi, przeważnie włościan. W r. 1882 sprawozdania urzędowe notowały takich wypadków w całej gubernii—40, w dziesięć lat później (r. 1892) liczba urosła do 60-ciu.—Zmarły niedawno b. nauczyciel gimnazyum, Moniuszko, zapisał na cele dobroczynne znaczne sumy. Między innemi na stypedya i wsparcia dla uczniów miejscowych wyznania katolickiego 20,000 rs.—Powstanie wkrótce w mieście ambulatoryum dla dzieci z oddziałem operacyjnym. Bank wileński ziemski ofiarował na ten cel 3,000 rs. Inne instytucye także przyczyniły się do składek.—Według zapewnień korespondenta *Słowa*, w Krożach ma powstać niższa szkoła rolnicza z zapomogi rządowej i składek ziemiańskich.

Żytomierz. Mieszkańcy miasta gubernialnego, które dotychczas połączone jest ze światem za pomocą dyliżansów i furmanek żydowskich, cieszą się postanowieniem budowy wązkotorówki do Berdyczowa. Zajmie się tem pierwsze Towarzystwo kolei pomocniczych, o którem *Prawda* już pisała. Zarząd tego przedsiębiorstwa nie wymaga żadnych zasiłków pieniężnych, lecz zwrócił się do władz ministeryalnych z prośbą o przyznanie prawa przymusowego wywłaszczania ziemi, potrzebnej pod budowę kolei, bezpłatnego otrzymania gruntów skarbowych, nie przynoszących dochodów, wreszcie zatwierdzenia o 5% niższych opłat przewozowych w stosunku do taryf b. Towarzystwa głównego ruskich kolei żelaznych.—Właściciele pasiek w prowincyach południowo-zachodnich nie mogą narzekać na rok ubiegły; dał on im względnie pomyślne rezultaty i gdyby nie szkody wiosenne, interesy pszczolarzy znacznie poprawiłyby się. Ale więcej niż nieprzyjaźne warunki atmosferyczne, szkodzi tej gałęzi gospodarki brak fachowców odpowiednich. Pszczelnictwo jest prowadzone przeważnie po dyletancku.

Kowno. *Gazecie polskiej* donoszą, iż hr. Benedykt Tyszkiewicz w majątkach osokińskich (pow. nowoaleksandrowski, gub. kowieńska) wchodząc w ciężkie położenie swych dzierżawców z powodu nadzwyczaj nizkich cen zboża i prawie zupełnego zastoju w handlu, zmniejszył tegoroczny czynsz dzierżawny ze wszystkich folwarków o 20%; tym zaś, którzy ponieśli straty w przeszłym lub bieżącym roku od gradobicia i ognia, zniżył o 30%. Jest-to prawdziwie obywatelskie wejście w położenie dzierżawców, których warunki bytu stokroć są gorsze niż właściciel ziemskich.

Moskwa. Miejscowe Towarzystwo miejskie wzajemnego ubezpieczenia, które powstało przed sześciu laty bez kapitału zakładowego, jedynie przy pomocy kredytu zarządu miejskiego w sumie rs. 300,000, obecnie posiada własnego kapitału już 335,000 rs. Cyfra ta wymownie świadczy o powodzeniu i rozwoju instytucyi.—

Krzątanina około wystawy w Niższym Nowogrodzie nabiera coraz większej gorączki. Pomimo mrozów, roboty ciesielskie i blacharskie są w całej pełni od rana do późnej nocy przy oświetleniu elektrycznem. Pracuje przeszło 1,500 robotników. Bardzo okazały ma być salon sztuk pięknych.

Medycyna dla kobiet. Pisząc w lecie o tej sprawie, wyraziliśmy nadzieję prędkiego urzeczywistnienia kursów lekarskich dla kobiet. Kwestya ta ciągle jest jeszcze na porządku dziennym, a składki na nowy zakład nie przestają napływać. Świeżo p. Rożdiestwienska-Szeniawska uczyniła hojną ofiarę: po 12,000 rs. corocznie na utrzymanie projektowanych kursów. Oprócz tego zapisu zebrano już ogółem 700,000 rs. Jest więc fundusz, wystarczający na rozpalenie nowego ogniska nauki dla dobra powszechnego. Prasa ruska żywo popiera tę sprawę, między innemi zaś *St. Pet. wied.* zapytują, dlaczego ma nastąpić zmiana nazwy zakładu i dlaczego uznano za konieczną rewizyę przepisów o warunkach przyjmowania słuchaczek? „Z mocy reskryptu Najwyższego—pisze ta gazeta—oddano tylko kursy medyczne pod zarząd innej władzy, bez zwijania ich w zasadzie, a więc mogłyby być wznowione jak dawniej. Doświadczenie przekonało także, że patent z gimnazyów żeńskich i instytutów jest dostatecznem świadectwem umysłowej dojrzałości panien, że dość zdolne kandydatki nic nie zyskiwały na kursach, a wobec wszechstronnego programu lekarskiego i teraz niema najmniejszej obawy, iżby słabsze słuchaczki mogły pozyskać stosowne świadectwo lub patent.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZJAZD MŁYNARSKI

Petersburg, 27 stycznia.

Wiadomo już naszym czytelnikom, że zapowiedziany w Petersburgu wszechrosyjski zjazd młynarzy obudził u nas wielkie zajęcie, że nawet z tego powodu zwołano w Warszawie nadzwyczajne posiedzenia i narady. Szczególnie na jedno, urządzone przez sekcyę handlową, przybyli interesowani z całego Królestwa Polskiego. Ułożono piękny program, porządek spraw do przedstawienia; zalecono specyalistom opracowanie odpowiednich wniosków i oto zdawało się, że całokształt interesów i potrzeb młynarstwa tutejszego wyjdzie w zupełnem zaokrągleniu, jasno, tem bardziej, że przecież tu chodziło o różne odłamy gospodarki krajowej, ściśle związane z powyższym. Tymczasem już na ostatnie narady w przeddzień wyjazdu prawie nikt nie przyszedł do gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa. Byłem atoli pewny, że przedstawiciele, którym liczna rzesza wytwórców poruczyła swe interesy, wypełnią świetnie zadanie. Przywiązując zatem wielką wagę do chwili, w której będą się ważyć i regulować doniosłe zjawiska życia ekonomicznego w całem państwie, podążyłem także do Petersburga, ażeby posłyszeć na własne uszy, co też nasi rzecznicy powiedzą. Jakoż uderzyła mię najpierw nadzwyczajna skromna ich liczba. Przybyło zaledwie trzech czy czterech i zamiast wniosków, postanowili odpowiadać tylko na pytania programowe. Głos zabierali ci wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia z każdej miejscowości państwa, przedstawiciele zaś warszawscy woleli pozostać w skromnej roli słuchaczów. Gdy doszło do kosztów produkcyi we wszystkich dzielnicach państwa, odpowiedzieli ściśle na pytanie, ale z niezupełną ścisłością pod względem informacyjnym.

Jak wiadomo, zasadniczem zadaniem zjazdu jest obmyślenie środków zbytu wyrobów młynarskich za granicą, a w związku z tem — sposobów podniesienia tej całej gałęzi przemysłu. Otóż, o ile mogę wnosić ze skromnych i krótkich odpowiedzi pp. Wernera i Jentysa, obmyślili oni szczególny system ekonomiczny, mianowicie gorąco pragną ułatwienia wywozu dla mąki z całego Cesarstwa za granicę, a nie życzą tego dla Królestwa w nadziei, że z chwilą podboju rynków obcych otworzą się wewnętrzne; nie pragną jeszcze z tego względu, że pociągnęłoby to za sobą znaczne udoskonalenia techniczne i potrzebę rozwoju młynarstwa na wielką skalę. Co to jest? — W dalszym ciągu postaramy się, o ile można, wyjaśnić owe zapatrywania przedstawicieli młynarstwa z Warszawy. Tymczasem zaś przyjrzyjmy się całej organizacyi zjazdu, jego obszernemu programowi i dążnościom. Ułatwienie wywozu za granicę i zamach na rynki obce pociąga za sobą odpowiednie zmiany działania i systemów. Całkiem więc słusznie postawiono na czele zadośćuczynienie wymaganiom zagranicy w zakresie handlu mącznego, a zatem zalecono do rozpatrzenia następujące szczegóły: gatunki pszenicy, jakość mlewa, opakowanie, ceny mąki za granicą i ich wpływ na interesy młynarzy rosyjskich, koszt produkcyi mąki i dostawy jej do portów, w tych zaś ostatnich wydatki frachtowe i komisowe. Koszt dostawy mąki za granicę i ubezpieczenia ładunków, zarobki na otrębach; ceny w kraju i za granicą; wytwarzanie mąki w gatunkach i wartości, odpowiadających wymaganiom zagranicy; sposoby zniżenia produkcyi dla rynków obcych. Dalej: taniość kredytu, zniżenie kosztów naprawy i budowy młynów, zwiększenie produkcyi, utworzenie agentur w kraju i za granicą, urządzenie terminowej komunikacyi wodnej między portami krajowymi a zagranicznymi z określonymi frachtami za przewóz towaru; terminowa dostawa koleją do portów; zbadanie tych miejscowości zagranicznych, które są najodpowiedniejsze dla zbytu mąki rosyjskiej; opracowanie w ogólnych zarysach projektu organizacyi agentur w kraju i za granicą, ich zadania i t. d. Pożyczki na produkt wywozowy, inspekcya dla niego. Urządzenie centralnego biura młynarzy dla popierania wywozu mąki za pomocą dostarczania niezbędnych danych; wydawnictwo, poświęcone młynarstwu. Tę grupę spraw uzupełniają wreszcie pytania: Czy młyny obecne, przystosowane prawie wyłącznie do potrzeb wewnętrznych, odpowiedzą zadaniu przy wprowadzeniu środków, ułatwiających wywóz mąki? Czy nie należałoby pomyśleć o budowie młynów, przeznaczonych wyłącznie do wyrobu mąki na wywóz?

Grupa ta, z góry w programie nakreślona, jeszcze nie obejmuje wszystkich potrzeb, znaczną zaś ich część wyjaśnia i rozwija p. Szostak w swojem obszernem sprawozdaniu, które opracował dla zjazdu, jako delegat departamentu handlu i rękodzieł, wysłany za granicę dla zbadania młynarstwa w Anglii, Belgii i Holandyi. Z kolei pomówimy i o tym wielce ciekawym przedmiocie. Tymczasem zaś musimy wrócić do pierwszego posiedzenia, na którem właściwie zorganizowano porządek i sposób załatwiania spraw. Obrady w imieniu ministeryum skarbu zagaił jego przedstawiciel, dyrektor departamentu rękodzieł i handlu, p. Kowalewskij. Zgromadzić wytwórców i techników tej gałęzi gospodarstwa z całego państwa, utrzymać ład, który dla oszczędzenia czasu nie pozwalałby różnym mówcom odbiegać zbyt daleko od przedmiotu, to jest zadanie nadzwyczaj trudne, które jednak w znacznym stopniu przewodniczący potrafił osiągnąć. Przedewszystkiem zasługuje na uwagę jego przemówienie programowe, jako poniekąd wyrażenie opinii ministeryalnej i współdziałania. Otóż mówca położył nacisk na możliwie najszerszy podkład ekonomiczny, na związek młynarstwa z interesami rolnictwa. Stąd wypływają: udoskonalenia techniczne, podboje rynków itd. Rozwój wywozu przewodniczący uznaje za niezmiernie ważny i zapewnia zebranych, że wszystko, cokolwiek w tej mierze postanowią, ministeryum poprze bardzo chętnie. Takiego poparcia również należy się spodziewać od steru spraw kolejowych i ministeryum rolnictwa, taką samą bowiem gotowość pomocy przyrzekli obecni na zjeździe przedstawiciele tych dwu ognisk administracyi rządowej.

Do zrobienia jest bardzo wiele wobec braku znajomości potrzeb wszechświatowych, rozproszonego działania wytwórców w obrębie Rosyi i jednocześnie gromadnej siły producentów obcych. Wywóz mąki z Rosyi za granicę dotychczas głównie jest skierowywany na rynki morza Śródziemnego, do Konstantynopola, Grecyi, Azyi mniejszej. Tam zaś, gdzie największe jest zapotrzebowanie, w Anglii, Belgii i Holandyi, gdzie zatem najbardziej opłaciłoby się dostarczać ów produkt, młynarze ruscy nie wyrobili sobie wstępu. Natomiast Stany Zjednoczone Ameryki północnej, tj. kraj również o kulturze ekstenzywnej, zbywa 60% swojej mąki na rynkach europejskich i zalewa nią nawet Finlandyę, co więcej — ma zbyt nad brzegami morza Kaspijskiego. Rosya zaś wysyła tylko 3% swej produkcyi mącznej i to na rynki mniej korzystne. Nie widać w tem zmiany na lepsze, przeciwnie — z każdym rokiem nawet powyższe skromne odsetki wywozu zmniejszają się coraz bardziej. Prawda, Ameryka posiada bardzo przyjazne warunki w tej mierze, działa na wielką skalę, korzysta z tanich maszyn i przystępnego kredytu. Ale, jak zaznaczył p. Kowalewskij, wytwórcy w Rosyi będą mieli pod tym ostatnim względem również ułatwienia. Ustawa Banku państwa nie mówi wyraźnie o młynarstwie, ale to nie powinno dawać powodów do przypuszczenia, że ono jest wykluczone. Młynarze mają prawo najzupełniejsze korzystania z tego kredytu, jeżeli zaś dotychczas nie ujawniły się jeszcze wyraźne rezultaty w tej mierze, przypisać to należy tylko zatwierdzeniu nowych przepisów Banku państwa przy końcu roku ubiegłego. Przewodniczący wyraził nadzieję, że z czasem tak ważna dźwignia pchnie młynarstwo na drogę racyonalną i da mu potężną broń do współzawodniczenia z obcymi: „Wszak Rosya posiada takie warunki przyjazne, których brak Ameryce, mianowicie dobre gatunki produktów surowych i taniość robotnika.“

Chcąc atoli traktować na seryo zdobywanie rynków obcych, trzeba się przygotować na straty i to z początku nawet dotkliwe w ciągu lat paru. Z tą właśnie świadomością młynarze w obrębie Rosyi powinni działać i nie zrażać się trudnymi początkami. Jednym z zasadniczych środków w tej mierze powinna być odpowiednia reforma taryf, tj. zadanie, którego na razie nie można załatwić. Wogóle cały niniejszy zjazd to tylko linia wytyczna, która po czynnościach przygotowawczych pozwoli torować drogi trwale. W tym właśnie duchu na pierwszem posiedzeniu nakreślono ogólny plan robót, a dla ułatwienia pracy rozłożono ją na trzy komisye: techniczną, administracyjną i ekonomiczną. Do tej ostatniej między innymi powołano p. Suligowskiego.

Uregulowanie taryf, jest to sprawa niezmiernie rozciągliwa i ważna; chcąc zaś możliwie najmniej omyłek popełnić i złagodzić, a nawet usunąć wzajemne ścieranie się interesów różnych dzielnic państwa, należy wejrzeć z osobna w warunki i potrzeby wszelkich obrębów; są bowiem

znaczne rożnice zarówno w sposobach produkcyi, jak i czynnikach kulturalnych, ekonomicznych i komunikacyjnych. Bardzo więc słusznie w czynnościach wstępnych zrobiono odpowiedni podział młynów w całem państwie na cztery grupy. Do pierwszej zaliczono portowe nad morzami: Bałtyckiem, Azowskiem i Czarnem; do drugiej nadwołżańskie (dwie kategorye: 1) przerabiające ziarno własne i 2) cudze); do trzeciej t. zw. młyny wewnętrzne, rozproszone w całem państwie. Czwartą grupę stanowi Królestwo Polskie.

Przy sposobności muszę zaznaczyć charakterystyczny fakcik. Zrazu chciano poprzestać na trzech pierwszych grupach, panowie zaś przedstawiciele z Warszawy milczeli uparcie; dopiero ktoś, dla kogo jest może obojętne młynarstwo nad Wisłą, podał wniosek grupy czwartej, przyjęty bardzo przychylnie i skwapliwie zarówno przez przewodniczącego, jak i obecnych uczestników zjazdu. Nie znam wnioskodawcy; przekonałem się tylko, że rzucając mimochodem kilka słów, uczynił on więcej, niż posłowie młynarstwa z Królestwa Polskiego, którzy, zmarnowawszy w Warszawie moc frazesów na posiedzeniach specyalnych, w tym ważnym wypadku, gdzie chodziło o powiedzenie dwu lub trzech wyrazów — pary z ust nie wypuścili.

Taryfy, chociaż są ważnym środkiem pomocniczym, nie stanowią jednak całkowitego podkładu, na jakim racyonalne i mocne młynarstwo rozwinąć się może. „Potrzeba nam działalności gromadnej, spójni, jasności i uświadamiania w prowadzeniu interesów. Potrzeba wiedzy, pracowników prawdziwie uzdolnionych!“ Takie słyszeliśmy głosy światlejszych młynarzy. Żądania te wejdą do uchwały zjazdu, który będzie pomostem, prowadzącym do czynu przez wnioski i sformułowanie potrzeb. Kwestye te, jako już poniekąd rezultat wiecu, postaramy się odpowiednio rozwinąć w dalszym ciągu, posługując się obfitym materyałem, który oprócz wysnutego z obrad, posiadamy jeszcze dzięki uprzejmości p. Szostaka, jednego z przedstawicieli departamentu handlu i rękodzieł, tudzież czynnego gospodarza zjazdu.

Zen Piet.

LUDNOŚĆ KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Nie możemy uskarżać się na brak danych o rozwoju ludności Królestwa Polskiego, chociaż dotąd u nas, jak i w całem państwie rosyjskiem, właściwego spisu ludności nie było. Obliczenia opierają się przeto zawsze na t. zw. księgach ludności i wskutek tego wykazują wciąż te same braki, ale jednocześnie i znaczną jednolitość momentów statystycznych, które uwydatnić można, a więc materyał do porównań niemal za całe stulecie. W. Załęski zebrał ogólne cyfry ludności od r. 1816, aż do 1874, autorowie tacy jak Rodecki, Zawilejski, Wolski, Obruczew, Suworin, dają nam szczegółowszy przegląd ludności za pojedyńcze lata, wreszcie dla roku 1890 i 1893 posiadamy niedawno wydany materyał, opracowany przez warszawski komitet statystyczny według tych samych źródeł i podobnych zasad, jak i poprzednie cyfry.

Korzystając z tego materyału, ocenić tedy możemy, jak się rozwijał liczebnie najważniejszy czynnik gospodarczy i społeczny w kraju naszym, jak dzielił się na miasta, osady i wsie w niektórych okresach naszego stulecia, jak zmieniały się liczebne stosunki oddzielnych wyznań, narodowości i płci, jakie było rozsiedlenie i skupienie ludności, względnie do gubernij i powiatów. Brak tu przecież wszelkich danych o podziale ludności, co do wieku i zajęć, bez czego ocenić nie możemy ekonomicznej wartości zaludnienia. Trudno nam orzec, czy pomimo względnie szybkiego przyrostu, zwiększa się procent ludności produkcyjnej, a więc w latach, w których ona myśleć może o zaspokojeniu potrzeb własnych, oraz o wychowaniu młodszego pokolenia i przeżywieniu starszego, które już nie jest zdolne do pracy. Co do zajęć istnieją już częściowe lub przybliżone dane, jak np. obliczenia ludności rolnej dla gub. suwalskiej, albo robotników fabrycznych, z czasem zaś spodziewać się można, nawet przy dziś przyjętej metodzie statystycznej, przybliżonych przynajmniej obliczeń dla całego kraju. Podział według wieku jednak przeprowadzić się inaczej nie da, jak przy spisie ludnościowym, gdyż w księgach oprócz urodzeń, zapisywane są również zmiany miejsca pobytu, najpracowitsze przeto obliczenia nie potrafiłyby oddzielić tu ziarna od plewy, a w samej nawet cyfrze ludności omyłek spodziewać się trzeba. Rozpatrzmy przecież materyał posiadany.

Ludność z 1816 r. podaje Załęski na 2,717,287. W 1893 r. wzrasta ona do 8,808,969, czyli przyjąwszy pierwszą cyfrę za 100 podnosi się w ciągu lat 77 do 325, a więc wykazuje wzrost ogromny, znacznie większy od przeciętnej ludności europejskiej w tym samym czasie, jakkolwiek ostatni w stosunku do okresów wcześniejszych wydaje się zastraszającym dla demografow.

W ciągu całego wspomnianego okresu cyfra ludności spadła tylko dwa razy. W 1830/31 roku ubywa 375,631 osób, między 1847 a 1855 zmniejsza się o 193,260 czyli rocznie o 0,4 na 100. Po za tem wzrost ludności Królestwa jest szybki, jakkolwiek podlega wielu wahaniom. Tak np.:

W okresie		1816—1829 r.	przyrost	roczny	3,3%
„	„	1831 1846	„	„	1,7%
„	„	1856 - 1862	„	„	0,9%
„	„	1862—1873	„	„	2,4%
„	„	1873—1893	„	„	1,9%

Dość rzucić okiem na powyższą tablicę, aby dostrzedz niestałość rozwoju zaludnienia. Są to stosunki właściwe wiekom wcześniejszym od XIX, oraz okresom zmian i niepokojów politycznych, które się wyrażają w niejednakowych odsetkach liczebnego zwiększania się mieszkańców. Jakkolwiek więc szybki wzrost świadczy o żywotności plemienia polskiego, które niemal wyłącznie kraj tutejszy zamieszkuje, zmiany polityczne odbiły się wyraźnie na typie ludności.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na ostatnie trzy lata okresu najnowszego, jako nam najbliższe. Przyrost roczny wynosi w tym czasie 2,2%, tak że zaludnienie z 73,7 osób na wiorstę kw. wzrasta do 78,7.

Co do względnego zaludnienia pojedynczych gubernij, to w ciągu ostatnich trzech lat nie ulega ono znacznym zmianom. Zawsze 4 gubernie przemysłowe posiadają zaludnienie najgęstsze; najmniejsze zaś gubernie północne, czysto rolnicze; wzrasta ono najszybciej w okolicy dwóch wielkich miast: Warszawy i Łodzi, najwolniej zaś w guberniach czysto rolnych. Według gubernij przedstawiała się ludność w następujący sposób: Na wiorstę kwadratową wypadało głów:

Gubernie	w 1890 r.	w 1893
Warszawska	110,9	122,4
Piotrkowska	101,0	111,9
Kaliska	82,4	87,2
Kielecka	79,0	81,1
Lubelska	67,4	72,1
Radomska	66,9	72,0
Płocka	64,3	66,3
Łomżyńska	56,8	59,4
Siedlecka	53,6	57,3
Suwalska	54,3	55,4

W 1890 r., tedy cztery gubernie miały ludność większą niż średnią, a jakkolwiek owa średnia cyfra się zmienia w 1893 r., stosunek pojedynczych gubernij do niej pozostaje taki sam, jak poprzednio. Jeżeli zaś porównamy nasze cyfry z temi, które podaje Obruczew dla 1866 r., okaże się, że najwięcej wzrosła znów ludność gub. przemysłowych, a więc warszawskiej, zwłaszcza samej Warszawy i piotrkowskiej, którą autor powyższy stawia na 6-tem miejscu. Zaludnienie średnie Królestwa zaś było w 1866 r. 47,5 osób na wiorstę kw., wzrasta więc niemal w dwójnasób w niespełna trzydziestu latach.

Rożnice zaludnienia odrębnych okolic występują najwyraźniej przy rozpatrywaniu pojedyńczych powiatow. Nie mówiąc już o warszawskim i łódzkim, gdzie nagromadziła się ludność z powodu wielkich miast, najwięcej zaludnione powiaty są te, w których rozwinął się jakikolwiek przemysł. A więc będziński z powodu kopalni (149,6 mieszkańców na 1 wiorstę kw.), błoński dzięki skupianiu się ludności robotniczej w Żyrardowie (102,8 mieszk. na 1 w. kw.), olkuski i miechowski po 90. Jak to już mieliśmy kiedyś sposobność zaznaczyć, skupienie się ludności rolnej nie ustępuje ogółowi mieszkańców powiatów z wyjątkiem warszawskiego, który pod względem ludności ogólnej zajmuje pierwsze miejsce (492 m. na 1 w. kw.). co zaś do rolnej—trzecie (109,8 m. na 1 w. kw.).

Z nowszych obliczeń tylko ostatnie dzieli ludność na mieszkańców miast, wsi i osad, pozwala przeto ocenić właściwy procent miejskiej. Zaliczyć do niej można niemal powszechnie ludność osad, której skład (znaczna liczba pierwiastku żydowskiego), oraz zajęcia wskazują charakter miejski. Pod względem skupienia w miastach ludność z 1893 r. porównać można ze stosunkami z 1869, tj. ocenić zmiany zaszłe w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu.

Ludność miast i osad w Królestwie wynosiła w 1869 r. 1,530,126 głów, a więc 25,3% całej, w 1893 r. wzrasta ona do 2,377,238 czyli do 27%. Ten przyrost 2 na sto ludności miejskiej w porównaniu z innymi krajami Europy, jest powolnym. W Anglii np. ludność miejska wzrastała w następujący sposób: w 1851 r.—51%, w 1881 r.—59,6, w 1890—70% ogółu. We Francyi ludność miast powyżej 20,000 mieszkańców rosła również w znacznie szybszem tempie. Tak np. przyjąwszy ją w 1801 r. za 100, w 1836 r. ocenić musimy na 148, w 1866 na 283, wreszcie w 1886-m na 358. Ani w Anglii zaś, ani tem mniej we Francyi, stopa przyrostu ludności wogóle nie jest tak znaczną, jak w naszym kraju.

Przecież i ów nieznaczny przyrost wskazuje, że niemożemy uchylić się od ogólnego prawa skupiania się ludności po miastach. Wyłączając osady, dochodzimy do podobnych rezultatów; ludność samych miast stanowiła bowiem 16,6% w 1869 r., a po dwudziestu pięciu latach 18,1. Owo podobieństwo w skupianiu wskazuje znów analogiczny charakter miast i osad. Z gubernij pojedynczych w obu krańcach rozpatrywanego dwudziestopięciolecia najwyższe odsetki w miastach, wykazuje Warszawa. Ludność miejska (włączając i osady) wynosiła 43,2 i 43,5, a więc wzrosła właściwie tylko ludność miast (z 34,7 do 38,8 na 100), w osadach zmniejszyła się. W gub. piotrkowskiej uwydatnia się to samo zjawisko, tylko że tu wzrost ogólny jest zadziwiająco wielki. Z 610½ tys. w 25 latach rośnie do 1,209,380, ludność miast i osad zaś ze 178 tysięcy do 278,554, a więc jakkolwiek wolniej od ogólnej, przecież z 24,5 na 33%. Na trzeciem miejscu stoi gubernia płocka, która przed 25 laty zajmowała jedno z ostatnich. Ludność miejska wzrasta w niej z 12% na 20, co zadziwić musi w gubernii *par excellence* rolniczej. Zwrócić również uwagę należy na gub. kaliską, w której ludność miejska

wzrasta wolniej niż ogólna. Cała ludność zwiększyła się niemal o trzecią część, miejska zaś tylko o 26 tysięcy, a więc prawie o szóstą.

Miasta i osady też, jak się tego spodziewać należało, gromadzą przeważną część ludności niestałej, a więc mieszkańców Królestwa, którzy opuścili miejsce urodzenia. Liczba ich w 1893 r. wynosiła 977,331 11,1% ogółu. Według miejsca zamieszkania stanowią oni 29% całej ludności miejskiej, 6,2% osadn., a 7,1 wiejskiej. Tak więc siła przyciągająca miast znajduje tu ilustracyę, wszędzie bowiem w okolicach miejskich odsetki ludności niestałej są wyższe, niż średnie dla całego kraju. Po za tem na ludność niestałą wywiera jeszcze wpływ bliskość granicy zachodniej, co wyraża się np. w powiecie nieszawskim. Bliższych szczegółów o tych wewnętrznych wędrówkach nie posiadamy, jasnem jest przecież i z cyfr ogólnych, że okres zastoju ekonomicznego już przeszedł, a ludność świadomie dobiera sobie najodpowiedniejsze miejsca zamieszkania.

S. Z. Dański.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Najjaśniejszy Pan, przyjmując d. 29 b. m. deputacye od szlachty, miast i ziemstw z całej Rosyi, rzekł:

„Cieszę się, widząc przedstawicieli wszystkich stanów, przybyłych dla wyrażenia uczuć wiernopoddańczych. Wierzę w szczerość tych uczuć, z dawien dawna głęboko wyrytych w sercach każdego rosyanina. Lecz wiadomo Mi, iż w ostatnich czasach dały się słyszeć w niektórych zebraniach ziemskich głosy ludzi, uniesionych przez bezmyślne urojenia, o udziale przedstawicieli ziemstwa w sprawach zarządu wewnętrznego. Niechaj wszyscy wiedzą, że Ja, poświęcając wszystkie Moje siły dla szczęścia ludu, będę strzegł podstaw samowładztwa, również silnie i niezłomnie, jak ich strzegł Mój Niezapomniany Zgasły Rodzic."

Słowa te Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana zostały przyjęte pełnymi zapału okrzykami „hura," które długo rozlegały się po sali.

PRASA RUSKA.

Mosk. Wiedomosti piszą w artykule p. t. „Warszawskie bezkrólewie":

„Tem mianem ochrzczono czas, jaki upłynął od chwili wyjazdu jednego generał-gubernatora do chwili przyjazdu drugiego.

„W rzeczy samej nie zaszły żadne ważniejsze zmiany w rozwoju życia kraju. Tutejsi jednak politycy, korzystając z odpowiedniej, ich zdaniem, sposobności, zapragnęli odrobić to, co w ciągu lat trzydziestu zrobiono. Próżność, gorączkowa działalność krzykaczy, pobudzających opinię publiczną albo raczej fabrykantów tej sławetnej opinii na podstawie własnych i drukowanych bredni, różnych „interview'ów" z dziennikarzami w rodzaju naiwnych reporterów petersburskich z *Now. Wrem.*, na podstawie pogłosek o zmianach osób i systemu—tworzyły lawinę, spadającą na biedne głowy oddanych sprawie, ruskich ludzi na naszych kresach zachodnich i na głowy spokojnej ludności miejscowej, która tyle zyskała w ciągu 13-to letnich rządów spokojnego ładu.

„W pismach zagranicznych, wrogo usposobionych względem Rosyi, zamieszczano korespondencye z Warszawy, że ruscy urzędnicy nawet, władze ruskie oczekują spełniania nad sobą kary śmierci, że rozradowani polacy—politykujący tryumfalnie chodzą po ulicach Warszawy itd. nie sposób wyliczyć tych wszystkich nieprawdopodobieństw.

„Z ważniejszych legend, godnych nieporządków z lat 1861—62, oraz r. 1863—legend, opowiadanych w Warszawie, w Petersburgu, a nawet za granicą, zanotować należy wiadomość, którą powtórzyły czeskie *Narodni Listy*—mianowicie, że czterech polaków (są oni wymienieni i znani), przygotowują do rządu rosyjskiego memoryał o sprawach polskich, o pragnieniach i marzeniach prawowiernych polaków. Do plejady tej zalicza się: dwóch magnatów, jednego finansistę znanego i niemniej znanego doktora. I znów politykujący ludzie rozpoczynają od memoryału—jak od memoryałów politycznych w polskim duchu pisanych adresów i przedstawień rozpoczynały się polskie nieporządki w latach 1861—1863.

„Ależ istotnie, tysiąckrotnie ma słuszność ten, kto mówi, że polacy niczego się nie nauczyli i nie mogą się nauczyć z lekcyj, jakich im udziela los historyczny, że politykująca część inteligencyi (część ta na nieszczęście polskiego narodu jest bardzo wielka), coraz bardziej pogrążając się w otchłań różnych mrzonek, dąży do pogrążenia w tę samą otchłań narodu całego i stykających się ze społeczeństwem polskiem ludzi innych plemion.

„Najciekawszą rzeczą jest to, że memoryał ów ma podziękować ruskiej inteligencyi za „powszechne współczucie postępowych rosyan" względem polaków. Bardzo to pochlebne, ale to podziękowanie nie może się stosować do rozumnej części inteligencyi rosyjskiej. Jeżeli czasami wyrwie się jakiś cyrkularzyk (np. za Albedyńskiego) o zmianie języka ruskiego na polski w gminach, albo zrodzi się myśl o wzmocnieniu polskiego języka na kolejach i przywróceniu zniesionych przez J. W. Gurko napisów polskich, o czem paplały nawet polskie gazety, są to wszystko pojedyncze błędy osób, niedostatecznie rozumiejących, co mają czynić—i wszystko to znajduje w sferach odpowiednich potępienie. Należy zwrócić uwagę, że nawet ci, co bredniom polskim dają posłuch, wcale nie chcą przykładać ręki do separatyzmu polskiego, jak tego pragną właśnie polacy, stawiając współczujących im rosyan w pozycyi drażliwej; wreszcie to jest niewątpliwe, iż wiele sentencyj polakofilskich niby istniejących wśród sympatycznych dla polaków rosyan, źródło swe posiada w bujnej imaginacyi samych politykujących polaków.

„Wobec tego trzeba radzić każdemu ruskiemu organowi władzy, prasy, albo inteligencyi, aby lekkomyślnie nie bawił się z rozpaloną wyobraźnią, niczego niemogących się nauczyć polskich „marzycieli politycznych." Ci nieszczęśliwi ludzie w każdej marnej rozmowie, w każdem słówku nieostrożnem, w prostej uprzejmości dobrze wychowanego człowieka widzą już zmianę kierunku, z odrobiną gadki łączą nieskończoność niepodobieństw i dzielą się niemi z publicznością."

Now. Wremia pisze w korespondencyi z Warszawy:

„Do rzędu odbłysków szybko urodzonej i niemniej szybko zgasłej zorzy rzekomego nowego kursu, wypada zaliczyć incydent, dotyczący widzenia się hr. Szuwałowa z działaczem finansowym, teściem niemniej głośnego deputata Kościelskiego, prezesem dr. żelaz. Iwangrodzko-Dąbrowskiej i Łódzkiej, p. Blochem. Zaraz po zanominowaniu hr. Szuwałowa na stanowisko warszawskiego generał-gubernatora, w *Kur. warsz.* pojawiła się sensacyjna depesza z Berlina, że hr. Szuwałow powołał do siebie p. Bloha i miał z nim długą konferencyę. Oczywiście, depesza wywołała przeróżne komentarze w towarzystwie polskiem i ruskiem, tembardziej, że pojawiła się między wyjściem generała Gurko, a ogłoszeniem Najwyższego reskryptu o nowej nominacyi. Tymczasem ze źródeł bardziej kompetentnych otrzymano informacye, że depesza *Kuryera* nie jest zgodna z rzeczywistością i że chociaż pan Bloch przedstawiał się w Berlinie nowemu generał-gubernatorowi, to jednak była to audyencya, udzielona na prośbę p. Blocha, nie zaś na wezwanie do konferowania o biegu spraw w Nadwiślu. Naturalnie szczegóły te znało tylko niewiele osób, większość zaś była przekonaną o prawdziwości informacyj, podanych w prasie. Wreszcie w n rze *Kuryera* z 19 stycznia ukazała się depesza p. Blocha z Nizzy.

Niewątpliwą jest rzeczą, że redakcya *Kuryera* wydrukowała to sprostowanie z sercem ściśnionem, ale teraz przynajmniej cały „incydent," który wywołał tyle przeróżnych obaw i rozpraw, został wyczerpany całkowicie."

W innej korespondencyi tegoż dziennika czytamy:

„Odpowiadając na powitanie deputacyi wójtów gmin, która spotykała nowego generał-gubernatora w Aleksandrowie, hr. Szuwałow rzekł: „Bardzo mi przyjemnie, że tak dobrze mówicie po rusku," a następnie dziękował za podany chleb i sól. Okoliczność, że hrabia zwrócił przedewszystkiem uwagę na znajomość przez reprezentantów ludności miejscowej języka rosyjskiego świadczy, jak doniosłe znaczenie nadaje znajomości języka rosyjskiego śród ludności miejscowej i że użyje wszelkich środków, potrzebnych ku rozpowszechnieniu znajomości języka państwowego."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Wilenskij Wiestnik* donosi: „W Warszawie krąży uporczywie pogłoska, iż obecny dyrektor tamtejszych teatrów rządowych opuszcza swoje stanowisko. Wymieniają dwóch jego następców Muchanowa, który był już raz poprzednio prezesem zarządu teatrów warszawskich lat temu 12—15, i hr Wielopolskiego (młodszego).

— *Petersb. List.* zawiadamia, iż Rada państwa zatwierdziła wniesiony przez ministra projekt zabezpieczenia bytu robotników i ich rodzin w razie kalectwa lub śmierci przy robotach w fabryce.

— Minister spraw wewnętrznych postanowił zawiesić na dwa miesiące wydawnictwo gazety *Kurskij Listok.*

— W Budapeszcie wybuchły zaburzenia robotników bez zajęcia.

— *Grażdanin* donosi, że postanowiono zwołać przy ministeryum spraw wewnętrznych komisyę dla zrewidowania ustawy o cenzurze zagranicznej. Do składu jej wejdą przedstawiciele komitetu cenzury, ministeryów, akademii nauk, profesorowie uniwersytetu, akademii lekarskiej, instytutu filologicznego oraz innych wyższych zakładów naukowych, a także przedstawiciele prasy. Do wszystkich posłów rosyjskich przy rządach zagranicznych będą przesłane pytania, jakie, ich zdaniem, pisma zagraniczne podlegać winny przeglądaniu przez cenzurę. Powstał projekt otwarcia dostępu do Państwa wszelkich gazet politycznych i pism naukowych bez cenzury.

Szkoły. Postanowiono otworzyć osobne katedry gleboznawstwa i bakteryologii, na początek przy uniwersytetach w Petersburgu, Moskwie i Charkowie.

— Gimnazyum żeńskiemu w Chersoniu pozwolono wprowadzić bezpłatną naukę gry na skrzypcach.

— Według sprawozdań urzędowych, państwo wydaje na cele wykształcenia rolniczego 1,420,442 rs. ro[illegible].

— W związku z reformą wykształcenia handlowego są starania ministeryum o kredyt w sumie 100,000 rs. na zapomogi dla szkół handlowych różnego typu.

— W Petersburgu powstanie średnia szkoła techniczno-elementarna.

Koleje i komunikacye. W b. m. zwołany będzie w Warszawie zjazd przedstawicieli kolejowych w sprawie nowej taryfy towarowej dla Królestwa w stosunku do zagranicy. (*Kuryer warsz.*).

— Zima sroży się w całej Europie. W Lucernie i Genewie zamarzły porty i jeziora. W śniegu grzęzną pociągi.

— Dane urzędowe stwierdzają, iż pomimo zniżenia taryfy pasażerskiej, ogólny dochód kolei nie zmniejszył się dotychczas, wbrew oczekiwaniu strat w pierwszych chwilach.

— Postanowiono urządzić połączenie telefoniczne między Krakowem i Wiedniem.

— Departament kolei wydał okólnik do wszystkich zarządów, donoszący, że z polecenia p. ministra skarbu za przejazd lekarzy powiatowych i gminnych w interesach służbowych, oraz felczerów przy nich praktykujących, w pociągach towarowych, służbowych, robo-

czych i ekstrapociągach pobierać należy opłatę po ³/₄ kop. od osoby i wiorsty, bez doliczania podatku skarbowego. Do zwykłych zaś pociągów osobowych lekarze winni nabywać bilety na przejazd odpowiedniej klasy według taryfy ogólnej, obowiązującej od dnia 13 grudnia r. z. W pierwszym wypadku lekarze i felczerzy obowiązani są okazywać świadectwa, stwierdzające ich urzędy.

Zdrowie publiczne. W szpitalu Dzieciątka Jezus otwarto oddział leczenia dyfterytu surowicą, na 10 łóżek dla dzieci.

— W niektórych miejscowościach Królestwa zdarzają się jeszcze pojedyncze wypadki cholery.

— W Nadarzynie (pow. błoński) i w Pilicy (gub. kielecka) potrzebni są lekarze.

Konkursy. Na konkursie petersburskiego Towarzystwa budowniczych za projekt pomnika dla prof. Thona w Moskwie otrzymali pierwszą nagrodę (medal złoty) budowniczowie St. Gałęzowski i J. Żółtowski.

— Towarzystwo farmaceutyczne w Warszawie ogłosiło konkurs z dziedziny towaroznawstwa aptekarskiego (wraz z przetworami aptecznymi). Nagroda rs. 300.

Wystawy i zjazdy. Na pierwszym zjeździe wodociągowym w Moskwie postanowiono drugi zwołać w Warszawie. Otwarty on będzie d. 31 marca r. b. i potrwa do 25 kwietnia pod przewodnictwem prezydenta miasta.

— Postanowiono zwołać w Warszawie w dniu 27 kwietnia r. b. zjazd przedstawicieli telegrafu na kolejach dla rozpatrzenia projektu nowych przepisów utrzymywania, naprawy i działalności telegrafów, oświetlenia elektrycznego stacyj, pociągów i lokomotyw, organizacyi telefonów itd. Przedstawicielem ministeryum na zjeździe będzie inż. W. W. Stanisławski.

— W Moskwie odbędzie się w r. b. zjazd przedstawicieli zakładów poprawczych dla nieletnich prze[illegible].

Zmarli. Mikołaj Giers, 26 stycznia, w Petersburgu; minister spraw zagranicznych. (Miejsce po nim obejmuje tymczasowo jego towarzysz, p. Szyszkin).

— Józef Mrazek, pod Meranem. Sekretarz dyrekcyi krakowskiego Towarzystwa ubezpieczeń. Napisał monografię instytucyi, w której pracował.

Dla posiadaczy Ruskich Pożyczek Premiowych pierwszej emisyi (z 1864 r.).

Z powodu kończącego się arkusza kuponowego od Biletów Pierwszej Pożyczki Premiowej (z 1864 r.) Bank Państwa w Petersburgu dołączać będzie nowe arkusze kuponowe **za jednoczesną wymianą samych Biletów na nowe tejże seryi i numeru.**

Biuro Bankowe Gazety losowań w Warszawie (Krak. Przedm. 53) przeto ma honor podać do wiadomości interesowanych, że **bezpłatnie** pośredniczyć będzie w uzyskaniu nowych arkuszy kuponowych oraz nowych biletów. Na złożyć się mające Bilety okaziciel otrzymać może odpowiednie zaliczenie gotowizną, niemniej Biuro uskuteczni asekuracyę od ciągnienia amortyzacyjnego na koszt interesanta.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Января 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.